

PISMO DLA RODZIN.

№ 30. Warszawa, dnia 17 (29) Lipca 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

PRZYCZYNY ZŁEGO.

III.

Odrębność żydów.

Pośród ludności rolnej i wojowniczej, z charakteru i położenia swego objawiającej brak handlowo-przemysłowego żywiołu, osiadło plemię obce, lud tułaczów prześladowanych wszędzie lud obrzucony pogardą a potężny odtrąconym przez bujną rycerskość czynnikiem pieniądzem i rachubą.

Zdawać by się mogło, że dość będzie paru wieków dla zatarcia ostrych cech odrębności dla połączenia dwu obcych żywiołów w organiczną całość społeczeństwa. Tymczasem ubiegło kilka wieków a różnice plemienne wzrosły zamiast zniknąć zupełnie.

Ludzie myślący, którym na sercu leży ta ważna kwestyja, rzadko umieją się wzbić nad tradycyjne przesądy i co najwyżej, spierają się o to kto winien, a wychodząc ze stronniczych zasad, rozchodzą się tam. gdzie wspólnych usiłowań potrzeba i zgody. Ktokolwiek w prasie podniesie głos wytykając złe po stronie żydów — wywołuje namiętny protest tych ostatnich, podejrzenie o nienawiść, hołdowanie przesądom, kto w ich obronie wystąpi zamiast poważnej myśli wzbudza sarkazmy przeciwnej strony. Toż samo tylko w jaskrawszy sposób dzieje się w prywatnem życiu; brak nam uczuć pojednawczych i nie dojdziemy do nich nigdy. Bez rozumnego spokojnego poglądu na tę sprawę i dobrej woli obustronnej, nie dojdziemy do zmazania obustronnej winy.

Odrębność żydów, tkwiąca w założeniu ich tradycyi, obok religijnego przesądu wywołała wrogie usposobienia względem nich wszystkich narodów. Ucisk zlączył żydów. Nienawiść, prawe dziecię ucisku, odepchnęła ich od otaczającego świata ku wspólnemu środkowi — szczytnej wierze, która z kolei pośród ciemnoty stała się dla mas służebnicą odrębności. Walka była nierówna. Izrael też nie walczył mieczem, nie walczył żadną bronią, ale prześladowanie, nieludzka pogarda, wyrwane z praw zbudowały dlań twierdzę, w której się zamknął, ciężar niewoli przerobiwszy na zaciętą siłę odporu. Całą grozą swych cierpień wzmocnił fanatyzm swej nieprzejednanej odrębności.

Dotąd wszystko jest naturalne i wina spadać nie może na nieszczęsne plemię, postawione przez swą tradycyją przeciw pochodowi dziejów, rzucone, że tak powiem, pod nogi narodów i w prochu kaźni ocalające swą arkę przymierza. Przecież stan tak wyjątkowy niemógł w następstwach swych nie wywołać zmian w charakterze tego ludu i wad, które w innych nawet warunkach życia nie mogły jednać mu sympatyi i wpływać na umilknięcie pierwiastkowego zabobonnego wstrętu ze strony innowierców. Nienawiść pokryta hypokryzyją, chytrość i giętka przebiegłość, zimny egoizm i wyrachowanie w gonitwie za zyskiem, te wszystkie przymioty wyrobione do mistrzostwa w niewoli otoczyły żydów jakimś demonicznym pozorem — budziły w pogardzonych *goimach* wstręt i obawę uczucia zdolne nawet bez pomocy religijnego fanatyzmu utrzymywać nienawiść wzajemną.

Żydzi osiadłszy wśród polskiego społeczeństwa przynieśli z sobą swą idealną ojczyznę, która niczem nie łączyła się z miejscowem życiem i duchem jego. Uczucia ludzkie, całą szlachetniejszą część ich dążeń pochłonęła wyłączność kasty; i ludzie wśród których osiedli, byli dla nich tylko polem zysku, warsztatem i rolą. Potrzeby społeczeństwa które ich w swe łono przyjęło, nie obchodziły ich, innej spójni nie było tu nad dążność do wyzyskiwania pozycyi. Pole potemu okazało się szerokie. Naród butny pełen fantazyi, brzydzący się rachubą — przedstawił obfitość łatwego zysku i z ochotą pozwolił się wyręczać w robotach gdzie chytrość zastępowała siłę a zręczność odwagę. Ale krajowiec nie mógł nauczyć się cenić przybysza i rychło gardzić nim zaczął; cierpiał go obok siebie, potrzebował go nawet i wrodzoną sobie ludzkością otaczał, ale o szacunku, niezbędnym do przyjaznych związków, nie mogło być nawet mowy.

Religijny fanatyzm przy ogarniającej naród ciemnocie i spaczonych pojęciach wiary Chrystusowej, łatwo wzrósł w podszeptach nienawiści wyzyskiwanego, przeciw wyzyskucym. Nastały czasy niesprawiedliwości i moralnego ucisku dla żydów; pomiatano nimi, zdawano na łaskę i niełaskę otoczenia. Nie był to ucisk barbarzyńskich Germanów, zaborczych baronów średniowiecznych, ucisk pełen krwi, mordów i bezprawia. Inny był charakter

możnowładztwa polskiego, krzywdy nie były straszne okrucieństwem—lecz przyniosły może większy uszczerbek żydom niż tortury i więzienia w zachodniej Europie, bo oddziałały na moralność ich, odebrały im godność charakteru i podniosłość uczuć. Żyd poniewierany moralnie, pozbawiony prostych dróg postępowania, musiał uciekać się do krętych ścieżek, któremi umiał drwić ze szlacheckiej buty. Poniżenie opłacało mu się sowicie w materyjalnych zyskach, nieopatrzność hulaszcza dawała mu w ręce możność lekkiego zarobku, podejmowanego choćby z błota, ale od nędzy moralnej nie mogło go bronić upadlające położenie. Odmawiano mu człowieczeństwa, drwiono z jego wiary i obyczajów zabobonnych, on pochlebiał i śmiał się uśmiechem pełnym szyderstwa, a po za obrębem swej religii pojętej w całem zaślepieniu ciemnoty, wierzył tylko w pieniądz: on mu był wszystkiem na ziemi, bo przezeń tylko pogardzany paryjas dochodził do władzy i znaczenia. Każdy środek okazywał się dobrym, gdy tylko wiódł do zdobycia tej magicznej laski. Praca była tu niedołężnym środkiem, nieuczciwość względem *goima* znajdowała usprawiedliwiający przed sumieniem sofizmat... Jakaż więc droga stała otworem dla żydów?

Możnaż się dziwić wadom żydowskiego charakteru, możnaż bezwzględnie potępić w nim ujemne strony z których każda ma tak oczywiste źródło? Czy spotykana tam przecież częstokroć prawość i cnoty społeczne nie powinny budzić większej niż gdzieindziej czci i uznania? Oburzają nas niskie popędy ogółu żydowskiej ludności, ich odrębność zastrasza nas, lecz w tem co jest czystym wynikiem naturalnych przyczyn nie upatrujmy bezwzględnej właściwości plemienia, a sumienie nasze niech bierze na siebie część znaczną winy w tej sprawie.

Czasy zmieniły się, światło przeniknęło już dotyla pomrokę przesądów iż przy niem możemy widzieć drogę jakiej nam się trzymać wypada. Ofiar tu nie potrzeba, chyba trochę ustępstw z zakorzenionych przez wieki nałogów. Oceniajmy ludzi podług ich wartości nie patrząc na to jak kto Boga chwali, lecz czy go chwali w duchu i prawdzie. Pozbądźmy się przesądów, chciejmy widzieć współobywateli w tych od których wymagamy zjednoczenia. Nie usuwajmy się od nich pogardliwie. Chcąc od nich cnót obywatelskich, pragnąc widzieć szlachetność uczuć, nieodtrącajmyż morderczą bronią lekceważenia i szykany każdej dobrej chęci; zkądże one tam brać się będą jeżeli nie będziemy wynagradzać tego, cośmy bezwiednie wyplenili, jeżeli jak dawniej *zniżać się* będziemy tylko do wyznawcy Mojżesza wtedy, gdy go potrzebujemy.

Tego co zrodziła historyczna konieczność niegodzi się zwalać na karb czyjejbądź strony, winą dopiero jest to gdy świadomie trzymamy się zgubnej drogi. Żydzi nasi dzisiejsi nie są wolni od takiej winy przeciw społeczeństwu, winni są więcej niż im się zdaje. Od ciemnego tłumu nic wymagać nie można, mamy tu na myśli inteligencyją żydów, te sfery na które oświata i zajmowane w społeczeństwie stanowisko wkłada obowiązek świadomego służenia dobru ogólnemu.

Jak mało widzimy tu szczerych pojednawców! Wymagania i wyrzuty czynione chrześcijaninom za ich uprzedzenia, nie zastąpią prawdziwie dobrych chęci, ani przesadna drażliwość na objawy przesądu wzrosłego przez wieki całe nie przyczyni się do zniesienia go. Nie uwierzymy aby człowiek oświecony, zacny, kierujący się szlachetną dążnością, mógł zyskiwać niechęć u ludzi ożywionych tymi samymi co on przymiotami, aby rzeczywista godność w postępowaniu rozbijać się mogła o mur przesądu. Pociski niechęci i sarkazmy rzucane przez płytkie umysły, niech tylko na nicość moralną spadają nie dosięgając tych, którzy na nie żadną miarą nie zasługują.

Tymczasem najbardziej nawet postępowi żydzi okazują brak pojednawczego ducha, organ ich w prasie odznacza się częściej pychą i niewyrozumiałością niż rzeczywistą podniosłością uczucia zgody. Najbardziej pojednawcze jego artykuły wprost przeciwny zdają się obudzać kierunek stwierdzają raczej odrębność niż ją znoszą. Stan naprężenia stosunków nie może ustąpić przy takiem oddziaływaniu.

Wiara nie różni dziś ludzi pojmujących ją w czystości. Żydzi wierzą w Mesyjasza, Chrześcijanie codziennie wymawiają słowa „przyjdź królestwo twoje:“ wiara w przyszłość łączy ich w ogólnie ludzkich dążnościach. Zlanie się w obyczajach; w wierzeniach i prywatnem życiu nie jest konieczne do wzajemnego szacunku do społecznego zjednoczenia, potrzeba tylko... wzbudzać dobrą wiarę, zasługując na nią w czynach. Dla zniesienia przesądu, który między nami stoi, trza się wznieść nad przesąd, tak z jednej jak z drugiej strony krzewiący się jeszcze zbyt bujnie.

Na końcu jeszcze maleńkie *post scriptum*. Postępowość nie zależy na przystrojeniu się w europejską odzież, na szumnych frazesach powtarzanych dla popisu, i t. p. formułkach. Zbyt często postępowość taka łączy wady plemienne z wadami bezwyznaniowości moralnej, ztąd też to niestety, częściej większy szacunek budzi prosty, ortodoksalny żydek, niż pretensyjonalny postępowicz. Na czem zależy postępowość?... Niech na to sobie myślący czytelnik we własnem sumieniu odpowie.

Antoni Mirski.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie Floryjan te słowa odczytał, gdy Szambor z listem w ręku wszedł do gabinetu.

— Dobrze, że pana tu zastaję — rzekł do niego z powagą — bo mam dla pana ważną

ŚLADY ŻYCIA.

XXX.

Tyle życia, ile w czynie.

Jeden ze *znanych naszych* felijetonistów, który doczekał się już tak olbrzymiego rozgłosu, że dowcipne kroniki jego bywają popularyzowane na wszelkiego rodzaju pieczywach i innych ruchomościach, potrzebujących należytego zabezpieczenia od kurzu i spiekoty, a pisma prowincyjonalne piszą mu tyrady, które mogą roznieść imię tego męża na wszystkie strony kraju: od pałaców bogaczy, aż do lepianek nędzarzy, otóż ów jeden ze znanych naszych felijetonistów skreślił niedawno dowcipną charakterystykę braci swoich starej i nowej daty. My, aczkolwiek nie mamy nadziei współubiegać się o laury, do których nabycia trzeba się już odpowiednio urodzić, pragniemy skreślić tu różnicę, jaka zachodzi między felijetonistą *zimowym* i *letnim*.

Organizmy nasze widocznie stworzone są więcej do północnej niż do południowej temperatury. Bo oto skoro zimny wiater powieje z krainy lodów, a biała szata śniegu okryje łono natury i dachy kamienic warszawskich, życie wre najsilniej, rydwan czynu obraca się szybko, myśli produkują się obficie. Wtedy to pyszne źródło dla felijetonisty. Fakta całą dłonią zbierać można. Staje się on wtedy wielkim propagatorem wielkich idei, czułym opiekunem życia społecznego. Prace jego bywają pełne treści, werwy i zapału.

Lecz skoro palące promienie słońca rozpoczną swe fatalne operacyje nad mózgiem pracowników pióra, a źródło życia, jak strumień bieżącej wody, wysycha zwolna, i przytem epidemija sennego nastroju myśl rozleniwi, wtedy bieda wam czytelnicy! Bo oto zamiast pożywnego pokarmu, musicie się zadawalniać ciepłą wodą frazeologii lub ciężkim zlepkiem dowcipów. Jedynem źródłem produkcyi literackiej staje się świątynia Melpomeny. Więc sprawozdania i różne doniesienia teatralne sypią się jak z rękawa. I nic dziwnego. „Z pustego dzbana i sam Salomon nie naleje.“ Ażeby znów tak wielu u nas było Salomonów, tego stanowczo twierdzić nie można. Kiedyś może gdy społeczeństwa lepiej zagalopują się na drodze postępu, jaki dobroczyńca ludzkości odkryje maszynę, dla sztucznego produkowania faktów w chwilach zupełnej ich posuchy. Nim jednakże zjawi się mąż tak wielki, musimy zadowolnić się tem, czem nas ludzie czynu, na arenie życia społecznego obdarzać raczą. Szukajmy więc faktów!

Municypalność nasza zaczyna coś na dobre myśleć o *Ogrodzie Saskim*. Ma się wkrótce założyć Towarzystwo Opieki nad tym nieszczęśliwym przybytkiem, noszącym na sobie widoczne ślady nędzy i zaniedbania. Od czego zacznie szan. komitet, czy od opieki nad drzewami i trawnikami, czy też od opieki nad indywiduami, sporządziwszy sobie należyte nożyce dla pewnych specyjalności żeńskich, o tem później się dowiemy. Wartoby, zdaje się, o obu sprawach razem pomyśleć!

wiadomość. Pisze mi Salomea że Rabsztyńska już na łożu śmiertelnem!

Floryjan okazał twarzą pewne współczucie.

— Wiadomości takiej — mówił dalej Szambor— oczekiwałem już od dwóch tygodni — ale do listu Salomei dołączona jest kartka umierającej, pisana jeszcze przed chorobą ostatnią. Kartka ta tyczy się pana.

— Mnie?—zapytał Floryjan z niepokojem.

— Tak jest. Rabsztyńska pisze mi, że Salomea dała aplikantowi odkosza; a powodem tego byłeś pan!

— Ja?....

— Zdawało się Salomei, że pan ją kochasz!

— Ja ją kocham?...

— Czy mówiłeś pan kiedy z nią o tem?

— Ja?... tak wyraźnie... nie mówiłem, ale graliśmy wiele z sobą!

— Czy sądzisz pan, że gra pańska coś jej powiedziała?

— Gra jest grą... nic więcej!

Szambor patrzał czas niejaki na Floryjana z ironicznym wyrazem na twarzy. Potem posmutniała mu twarz i rzekł:

— A ja sądziłem, że gra coś mówi. Moja żona grała prześlicznie „pieśń bez słów" gdym się o nią starał, a w tej pieśni tak wiele było słów dla mnie!.... Masz pan słuszność: gra jest grą — złudziłem się!

Floryjan patrzał ciągle na ziemię. Coś ruszało się w jego sercu, co mu sprawiało wielką nieprzyjemność. Przesunął się także przed jego oczyma obraz białego dworka, umierającej babuni i bladej Salomei.... ale zaraz za tym obrazkiem pospieszył drugi jasny i barwny! Wyobrażał zamek starożytny i czarnooką hrabiankę węgierską...

— Więc nic nie mówiłeś pan z Salomeą? Nic jej nie obiecywałeś? — pytał po chwili Szambor.

— Mówiłem różne rzeczy.... być może... być może że się coś powiedziało... ale niewiem do czego to zmierza?

— To zmierza do kartki Rabsztyńskiej. Pisze ona do mnie, że jeżeli to jest prawdą, że pan Salomeę kochasz — to ona nic nie ma przeciw temu....

Floryjan poruszył się z miejsca.

— Cóż pan na to? —nacierał Szambor.

Floryjan westchnął głęboko, zmiął papier tajemniczy, który mu tyle dzisiaj obiecał i odrzekł:

— Ja na to tyle odpowiedzieć mogę, że w samej rzeczy dałem do poznania pannie Salomei, iż mi się podoba. Nawet, przed odjazdem powiedziałem to jej... ale pan wiesz zapewnie, że takie obligi nie zawsze są wypłacalne!

— Dlaczego?

— Nie każda rzecz wydaje się wszak taką, jaką jest w istocie. Nie stosuję tego do Salomei, bo ona jest godną wszelkiego uwielbienia — ale stosuję to do mego nielitościwego zawodu, który nakazuje abnegacyje światowego szczęścia!

— Dlaczego?...

— Bo sztuka....

— Sztuka jest wprawdzie córą niebios, która jednak zamieszkała na ziemi!

— Pięknie pan to powiedziałeś! westchnął Floryjan i pochylił głowę na piersi.

Szambor patrzał na niego z ironią. Usta jego składały się do uśmiechu pełnego goryczy.

— Rozmysł trzeźwy — rzekł po chwili — nie ubliża nikomu, byle tylko nie był tu nowy szał, który dawniejszy chce zmazać!

Floryjan spuścił oczy do ziemi.

— Któż wie — odpowiedział — co jest szałem, a co prawdziwym rozsądkiem lub uczuciem?

Po krótkim namyśle ozwał się Szambor:

— Masz pan słuszność — zawsze jednak chciałbym, aby ta sprawa między Salomeą a panem jasno się zakończyła. Nic nie ma smutniejszego dla kobiety, jak fałszywe uczucie podniesione do potęgi miłości. Wtedy jest ono źródłem wielkich boleści, a nawet może zwichnąć całe życie nieszczęśliwej istoty. Dlatego chciałbym, abyś pan kilkoma słowami do mnie niby napisanemi chciał wyjaśnić swój prawdziwy stosunek do Salomei. Zdaje się, że tego nie będzie potrzeba, ale jeżeli się stanie, o co się obawiam, że Salomea na seryjo weźmie dzisiejszą mrzonkę swoję, to będę miał czem ją ozdrowić. Najprędzej ozdrawia kobietę pewność, że wymarzony kochanek nigdy jej nie kochał!....

— Czyż to koniecznie? jąkał się Floryjan.

— Koniecznie! — odparł stanowczym głosem Szambor — od tego nie odstąpię!

I w czarnych oczach Szambora zabłysły dwa jasne płomienie.

Oczy te sprawiły na Floryjanie niedobre wrażenie. Mówił jeszcze to i owo, ale w końcu przed wrażeniem tych czarnych, iskrzących się oczu przystał na żądanie opiekuna Salomei.

Szambor wydobył dużą ćwiartkę papieru, a po różnych wstępnych targach napisał Floryjan drżącą ręką upokarzający cyrograf.

W cyrografie tym, wystosowanym do opiekuna Salomei stało, że jakkolwiek wysoko ceni jej przymioty, jakkolwiek nawet słowem to nieraz jej powiedział, a nawet w szale nierozsądną zrobił jej nadzieję — mimoto jednak po dokładnem zastanowieniu się — po koniecznem w takim razie ostrzeżeniu, z jakiem powinno się zawsze do ważnego kroku przystępować, uznaje niemożliwość dotrzymania tych obietnic tak samo w swoim jak i w jej interesie!

Było tam jeszcze wiele innych, ładnych rzeczy, ale koniec był ten, że Salomea na niego liczyć nie powinna.

Gdy Floryjan ten cyrograf do rąk Szambora oddał, otarł pot kroplisty z czoła i rzekł z chmurą na czole:

— Jeżeli sytuacyja nasza tak jasno stanęła to chciałbym dzisiaj lub jutro opuścić gościnny dom, w którym tyle miałem przyjemności!

— Jeżeli takie jest życzenie pana — odparł obłudnie gospodarz zwijając papier — to możesz pan to jutro uskutecznić! I tak odejdą podwody z rzeczami na dworzec kolei — będziesz pan mógł przysiąść się!

Czy jednakże wkrótce rozpocznie się działalność komitetu?... O tem pozwólcie nam powątpiewać. Wiemy przecież, jak ciężko idzie wprowadzenie w czyn jakiej pożytecznej myśli, ile przedwstępnych konferencyj, sessyj i sessyjek potrzeba wprzód nim wreszcie czyn zastąpi pustą produkcyją słowa. Gdybyśmy tyle gadali, co robimy a tyle robili, co gadamy, rydwan czynu i postępu zbyt szybko by pożądał. *Festina lente*! — stara to, ale wygodna zasada. I tu by się przydała jaka produkcyja sztuczna w postaci maszyny, którąby wszystkie nasze projekty, projekciki i zacne myśli przerabiała na substancyją czynu. Od czegoż postęp! Przecież główną jego dążnością jest zastąpienie pracy ludzkiej wytwórczością sił natury. Przyjdzie kiedyś ta błoga chwila, że, spocząwszy na wygodnych łożach, będziemy tylko wytwarzać różne zacne i szlachetne myśli, oddając je pod maszynę czynu. Ale... ale... skąd się też wezmą maszyniści?!...

Zaiste, produkcyja myślątek szeroko się u nas rozwija. Usilnie starał się dowieść tego p. *Julijan Miłkowski* w swoich „*Zaręczynach Macochy*," które przedstawił nam p. Teksel. Płody tego rodzaju produkcyi mają tę nieszczęśliwą własność, że najlepiej wychodzą, jeżeli nie wydalają się po za obręb maszyny psychicznej, która je wytwarza.

Z innych dziejów chwili obecnej, zaznaczymy to jeszcze, że pałąca atmosfera chwili obecnej, poparta w części szlachetną interwencyją ludzi dobrej woli, partykularzowi naszemu smutne wyrządza figle. Krwawa łuna pożarów ogarnia wsie i miasta. Tysiące biednych rodzin pozostaje bez chleba i schronienia. Smutny to obraz i smutne nasuwa nam myśli. Od początków cywilizacyi ludzkiej, człowiek całą potęgę inteligencyi swojej kieruje ku zwalczeniu wrogich mu sił przyrody. Czyżbyśmy, synowie XIX wieku, nie umieli oprzeć się żywiołowi, dla zwalczenia którego potrzeba wcale nieskomplikowanych środków. Tymczasem w obec dziwnej w tym względzie niezaradności, tak nazwane środki zabezpieczenia od ognia na prowincyi noszą na sobie prawdziwie humorystyczny charakter. Gdybyś, o czytelniku, przyzwyczajony widzieć dobrze uorganizowaną naszą straż ogniową, przypatrzył się podobnym urządzeniom prowincyjonalnym (z wyjątkiem tych miast, gdzie już zaprowadzono należycie urządzoną straż ogniową), zdawałoby ci się, że przeniosłeś się nagle w mroki ubiegłej dawno przeszłości, lub też gdzieś do narodów, którym nie zabłysły jeszcze ożywcze promienie cywilizacyi. Gdybyś ujrzał gnijące gdzieś w jakiej budzie narzędzia strażnicze zapłakałbyś tak gorzkiemi łzami, że strumień ich mógłby ugasić wszystkie pożary na biednym partykularzu naszym. Krwawa łuna pożarów przyświeca wielkiej idei praktycznego komunizmu, który coś szeroko rozgaszcza się w społeczeństwie naszem i dochodzi już do niepomiernej doskonałości. Zdradziecka dłoń jego sięga nawet do przybytków wiecznego spoczynku. Po znojnej drodze żywota spoczywasz sobie, czytelniku pod cieniem drzew na rodzinnej ziemi, sądząc, że wieczny spokój będzie już twoim udziałem. (Daruj mi, o łaskawco, ten zwrot żywości opowiadania). Nagle oto czujesz na sobie jakąś dłoń świętokradzką, która ściąga z ciebie ostatnią ziemską własność two-

— Skorzystam z tak dogodnej dla gospodarza okazyi!

Szambor skłonił lekko głowę, to samo uczynił Floryjan i wyszedł z gabinetu.

Za tak dziwaczne obejście się gospodarza mógł się Floryjan rozgniewać. I w samej rzeczy było za co. Na wstępie i przy odjezdnem nie był gospodarz szczególnie grzecznym. Powstrzymała jednak ten gniew szlachetna nadzieja, że wzmiankowana w liście Elmy paka nie ominie go tym sposobem, chociażby sama Elma na czas niejaki ominąć go mogła.

Z lekkiem więc sercem, zapomniawszy nawet o cyrografie pospieszył do swojej izdebki, aby wszystko do podróży przygotować.

Reszta dnia i cały wieczór przeminął bez szczególnych wydarzeń. Z Szamborem prawie się nie widział, gospodarz bowiem dopiero nad wieczorem wrócił do domu i zjadł obiad w milczeniu. Po obiedzie, pożegnał gościa i cofnął się do swoich komnat tajemniczych.

Floryjan czekał jeszcze na ostatnią grę fortepijanu, ale fortepijan nie odezwał się już dzisiaj. Zato więcej było ruchu na dziedzińcu. Wytaczano jakieś kutry i paki. Podwody przyjeżdżały i wyjeżdżały. Floryjan śledził pilnie wszystko. Wreszcie już późną nocą usłyszał turkot karety, a gdy dobrze na tę karetę oczy swoje skierował, ujrzał wysiadającą z niej kobietę.

Wszystkie dalsze badania i nasłuchiwania były nadaremne. Za przybyłą kobietą zamknęły się drzwi pałacu, a nawet i światła w oknach pogasły.

Trapiony gorączkowymi snami na jawie, zamknął już po północy Floryjan powieki, a gdy je rano otworzył ujrzał przed sobą starego Szymona.

Od niego dowiedział się, że wszystkie podwody wraz z karetą jeszcze przed wschodem słońca odeszły, a dla niego zatrzymała się główna bryka, na której będzie mu najdogodniej.

Floryjan szybko wyjrzał przez okno. Na dziedzińcu było już pusto — tylko jeden furgon stał już zaprzężony. Na tym furgonie leżała duża paka ze znakiem B. C. i cyfrą wspomnianą w owym tajemniczym zwitku papieru.

Twarz Floryjana rozjaśniła się rozkosznem uczuciem — zebrał się czemprędzej — a za chwil kilka siedział już na furgonie, wprawdzie nie bardzo wygodnym z takiem rozpromienionem obliczem, jakby ten furgon miał go zawieść wprost do upragnionego zamku nad Dunajem!

XXV.

Po wyjeździe Floryjana przystąpił Szambor do okna i długo patrzał na wijący się do góry gościniec, który widać było przed lasami. Po jego twarzy przechodził od czasu do czasu jakiś uśmiech ironiczny, a po uśmiechu rozlewało się uczucie rozrzewnienia.

Trwało to czas niejaki. Wreszcie na szczycie gościńca ukazał się furgon i powoli zniknął na pochyłości.

Szambor odstąpił od okna i zadzwonił na Szymona.

Szymon stanął przy progu.

— Czy hrabina już ubrana?—zapytał.

— Właśnie już kończy toaletę! odparł sługa.

— Niech Mateusz zaprzęga!

Szymon zwrócił się do drzwi.

Szambor chodził jeszcze czas niejaki po pokoju. Był ubrany do podróży. Na stole leżały różne przymioty podróżne.

Po niejakim czasie spojrzał na zegarek i wyszedł przez kurytarz od drugiego pawilonu pałacu.

Otworzywszy drzwi gościnnych pokoi zastał hrabinę już ubraną. I jej ubiór wskazywał że wybiera się w podróż.

Była to kobieta już nie młoda, nadzwyczaj szczupła, średniego wzrostu. Twarz miała mocno pomarszczoną, oczy niegdyś czarne i urocze świeciły dzisiaj jakimś blaskiem niemiłym. Upudrowane włosy spadały obficie na ładną kiedyś szyję, dzisiaj przysłonioną koronką brabancką. Zgrabną kibić okrywał szlafroczek flanelkowy barwy żywej. Wszystkie inne dodatki ubioru były bardzo wykwintne i gustowne.

Szambora przywitała pewnym żywym, nerwowym ruchem, a z rozwiniętej batystowej chusteczki wionęła woń wyszukanego pachnidła.

— Obawiałem się — ozwał się Szambor — że kuzynka po niewygodnej podróży dłużej zechcesz odpoczywać.

— Wyrządzasz mi krzywdę kochany kuzynie — odpowiedziała dama nieswojskim akcentem — gdzie idzie o sprawy familijne, tam jestem zdolną do wszystkiego, a nawet do ponoszenia jak największych niewygód!

— Spodziewałem się tego!

— Przecież przypominasz sobie, jak potrzeba było Lolkę dobrze ożenić, to niewahałam się chodzić na rauty do Silberkasta, chociaż tam tak strasznie dla mnie było nudno!

— Czeka cię kuzynko nowa praca!

— Ach mój Boże, przecież to jedyna jeszcze dla mnie rozrywka, jeżeli wiem, że dla dobrej myśli poświęcam się!

— Ale ta praca nie tak łatwa!

— Wiem bardzo dobrze! Rabsztyńska była dziwaczka i wydałaby Salomeę za pierwszego lepszego urzędnika, gdyby szlachetna krew wnuczki nie zapragnęła czegoś wyższego! Wprawdzie przy braku znajomości świata upatrzyła sobie tę wyższość tam, gdzie jej przypadkowo nie było, ale błąd ten uratował ją przecież od nierozsądnego kroku Rabsztyńskiej!

— Zdaje mi się, że dzisiaj ten wpływ Rabsztyńskiej zakończy się — chociaż życzyłbym jej jak najdłuższego życia.

— I ja życzę jej lat matuzalowych... ale z drugiej strony wiek tak długi starszych ludzi nie wpływa dobrze na los młodszego pokolenia. Starzy mają zazwyczaj pewne uprzedzenia i przesądy, które młodym pod ich opieką będącym bardzo wiele szkodzą. Nie każda starość umie iść razem z prądem czasu.

Szlachetna dama spojrzała tutaj do weneckiego zwierciadła i poprawiła koronki na piersiach. d. c. n.

---

ją. Brrr... aż natura się wzdryga. O świecie!... o świecie!... jakich potworów pielęgnujesz w łonie swojem!...

Ale masz tobie, wpadliśmy na tor moralizowania. Widzimy już, jak sen skleja wam powieki, znudzeni czytelnicy. Śpijcie więc sobie, i niech głos felijetonisty błogiego snu wam nie przerywa!

Jeżeli wyzyskiwanie które dostarczyło tyle tematów do romansów nieboszczykowi Gaboriau, szeroko rozpowszechniło się we Francyi, a nawet przedarło się w głąb' Rosyi, należy się obawiać, ażeby choć nie w formie *le chantage*, to w innej niemniej szkodliwej, nie rozpostarło swego panowania w naszej łatwowiernej Warszawie. Le chantage zresztą exploatuje tylko ludzi bogatych a przynajmniej zamożnych. Wyzyskiwanie zaś, jakiego ślady dają się spostrzedz u nas, wymierzonem jest przeciw biednej pożytecznej i pracowitej klasie ludności i przeciw młodzieży chcącej zapracować sobie na kawałek chleba; przeciw kobietom pragnącym za pomocą uczciwej, samodzielnej pracy, wybić się z pod jarzma igły i... upadku.

Oto malutki fakcik. Pomiędzy anonsami kuryjerków, wyczytaliśmy przed kilku tygodniami, ogłoszenie jakiegoś artysty-malarza, który *w ciągu jednego miesiąca* obowiązuje się *gruntownie* (sic!) wyuczyć retuszowania, kolorowania aquarellą i *olejno* (!), i helijominiatur, zgłaszających się doń kandydatów i kandydatki. Roześmieliśmy się z tego ogłoszenia, lecz gdy w tych dniach powtórzono je znów, ze zmianą tylko adresu, czujemy się w obowiązku ostrzedz mianowicie nasze czytelniczki, które chciałyby się nauczyć czego pożytecznego, przed tego rodzaju wyzyskiwaniem.

Otóż zasięgnąwszy w tej mierze informacyi i wskazówek od naszego współpracownika, artysty-malarza i specyjalnie obznajmionego z fotografiją i kolorowaniem, p. Henryka Filipowicza, dzielimy się z naszymi czytelnikami wiadomością, która wobec szczerego garnięcia się do pracy z jednej strony, a chęcią wyzyskania tego zwrotu z drugiej — nie będzie im zapewne obojętną.

Otóż jest niezawodną rzeczą, że jakkolwiek retuszowanie zapewnia kobietom więcej korzyści niż szycie, to jednak przy małym popycie — jak na dziś — i wobec mnóstwa kobiet, które rzuciły się do tego sposobu zarobkowania, wobec mianowicie konkurencyi mężczyzn retuszowanie jest zupełnie niepewnym kawałkiem chleba. Retuszerka zwyczajna, średnio uzdolniona, jeżeli ma miejsce, zarabia od 10 do 15 rs. miesięcznie, bez żadnych innych beneficyjów. Bardzo zdolna 30 do 40 rs.

Spytajcie teraz wiele czasu uczyć się, i do jakiej wprawy (bo tu *wprawa* gra główną rolę) dojść musi, chcąc zarobić 30 rs? Nie na miesiące a na lat kilka rozkłada się ta praca.

W ciągu pół roku, można dojść do tego, że będzie się miało *wyobrażenie* o tej pracy; można zaprawiać plamki na fotografijach *dobrze* ale jeszcze nie *wprawnie*; można *wygładzać* klisze, lecz nie będzie się umiało jeszcze *modelować*; można kolorować anilinowemi farbami, lecz będzie to ćwiczenie a nie umiejętność

Nauka helijominiatur, to znów inna kwestyja, tego nie potrzeba się nawet miesiąca uczyć

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

w XII i XIII wieku

szkicował

Ernest Świeżawski.

I.

Wojna niewieścia.

(dokończenie)

Salomeja hrabianka Bergen.

Podczas, kiedy Salomeja o kłopotliwem swem położeniu rozmawiała z dawnym swym nauczycielem, Ortlieb z Gerundem na rozkaz księżnej wdowy udali się z wiernym jej komornikiem do kościoła w Małagoszczu, podczas chwilowego tam dworu całego pobytu, i tam „nie bez strachu przed barbarzyńcami" zamknęli się. Ów komornik, wziąwszy klucze do skrzyń pani swojej od zakrystyjanów, wszystkie lubo popieczętowane, pootwierał, i zalecił przybylcom, coby im się podobało z nagromadzonych tam relikwij świętych. Na to wezwanie zakonnicy zwiefalteńscy wybrali sobie co sławniejszych i znakomitszych osiemdziesiąt czy nawet dziewięćdziesiąt cząstek i takowemi, jak pisze Ortlieb, niemałej objętości skrzynki napełnili. Poczet taki wielki tych skarbów religijnych w Polsce się znajdujący okazuje, że lubo to w krótkim już czasie po przyjęciu wiary katolickiej nad Wisłą i Wartą, niektóre strony jej kultu szybko się przyjęły, i wymagały obfitego zaspokojenia. Tak cześć dla zabytków świętych musiała być koło 1141 roku wielce gorącą w Polsce, skoro i tyle ich tam mogli ubodzy w tym względzie zwiefalteńscy niemcy zabrać i z takiem niebezpieczeństwem. Z pewnością bowiem, ową ich obawę przed „barbarzyńcami" wywołało przekonanie, że nie puściliby Polacy płazem złupienia skarbca małagoskiego przez towarzyszy Ottona na rozkaz Salomei. Wylicza część tych łupów Bertold, ówczesny przełożony klasztoru w Zwiefalten. A najprzód znakomita cząstka Krzyża Świętego, dalej zęby: święte go Jana Chrzciciela, świętego Pankracego, świętej Cecylii, cząstki: krwi Pańskiej, mleka N. Maryi Panny, łańcucha z oków świętego Piotra, rękę św. Stefana bez wielkiego palca. Prócz tego wzieli zakonnicy zwiefalteńscy i bardziej materyjalne skarby, które Ortlieb hurtownie ocenia na dwieście grzywien srebra wartości, a Bertold szczegółowiej nieco wymienia. Były to po większej części aparaty kościelne ze srebra, złota i t. p. niektóre tak wielkie, że trzeba było aż paru koni do przewiezienia dwóch sztuk tylko. W liczbie skrzynek znalazły się wyrobione z kości słoniowej i kryształu najpiękniejszego.

Kość słoniowa może nas zupełnie nie dziwić, gdyż w Polsce owoczesnej nietylko ten produkt stref południowych znajdujemy; bo już za Mieszka-Lamberta pierwszego o wielbłądach słychać tam było, a za Bolesława III za juczne bydlęta używano tych „okrętów pustyni", jak je przenośnie w Arabii nazywają. Dziwnym też trafem nazwa grecka słonia dała początek krajowej, litewskiej (i gockiej) nazwie „wielbłąd," jakby na dowód jakiegoś ścisłego dla stron tych między owemi zwierzętami związku. Może być, że tak często cząstki słoni przybywały na wielbłądach, aż ich nazwiska się pomieszały.

Dla jakiejkolwiekbądź zresztą szczepowej lub tylko dziejowej przyczyny, niemcy między szczególnościami ziem słowiańskich i dwa te zwierzęta zaeuropejskie wymieniają. Żałować przychodzi, że więcej takich szczegółów charakteryzujących Polskę ówczesną nie podali zakonnicy zwiefalteńscy, którzy też nie wzmiankowali, jaki był przedmiot rozmów Salomei z dawnym jej nauczycielem, jak również przemilczeli o roli tegoż Ottona ze Stutzelingen w sprawach Polski.

Można się tylko domyślać, że z jego inicyjatywy został przez Salomeję zwołany sejm ogólny do Łęczycy, w końcu 1140 lub na początku 1141 roku. Zjazd taki nie był nowością w Polsce. Krzywousty wyraźnie wspomina o roztrząsaniu spraw ogólnych całego kraju na takich zjazdach, które ze swym bratem jeśli nie regularnie, to w każdym razie gwoli przyjętym po temu obyczajom, jako jedną z form administracyi i t. p. zastosowywał do rządów swoich. Podanie o dwunastu doradzcach Bolesława Magnusa, zachowane przez Gallusa, a zastosowane do odwiecznych czasów „gdy niebyło ani królów ani panujących" przez układaczy kroniki Bogufały, przyświadcza bytowi takich gromadnych załatwiań tajemnic państw: owych przez zwierzchnika krajów z pewnemi wybrańcami. Jestto rodzaj *notabli* w składzie swym i bycie najczęściej od woli króla, od przypadkowej ilości i charakteru osób obecnych i t. p. okoliczności, zależny. U Dytmara Bolesław I czyni się zależnym w postępowaniu z Niemcami od woli swych panów. Żywot św. Stanisława (z XIII najwcześniej wieku) donosi, że Bolesław II zjazd taki ogólny rajców powołał, w celu wydania sądu na winnych Wedle Gallusa, nietylko panujący, ale, naczelnicy podrzędni prowincyj polskich zwołują takie zjazdy, dzieci Hermana wytaczają przed nie swe skargi i t. p. List papieża Paschalisa II zaznacza byt majores, znakomitszych (*notabli*) państwa, a na owym zjeździe Salomei występują primates regni „pierwsi kraju." Gdy w akcie Kazimierza Bolesławicza z r. 1187 znajdujemy tytuł takiż sam primatis nadany Mikołajowi, póżniej tyle głośnemu wojewodzie Leszka Białego, który u Wincentego (Kadłubka) Bogusławica nosi miano „pierwszy z jobagionów" to jest żupników, dostojników; możemy stąd wnieść na pewno, że tacyż sami primates, nie pochodzący z rodu Piastów, dostojnicy polscy zebrali się w Łęczycy na ów zjazd notabli.

Przyjechali też i synowie Salomei ze swych dzielnic, ze swemi żonami: Mieszko i Bolesław. Ostatni już 1137 r. poślubić miał Wirchosławę córkę Wszewołoda Mścisławicza, księcia na Nowogrodzie, ale mu ją dopiero teraz 1141 r. przywieziono. I tak trzeba przyznać, że czterna-

---

bo tu wszystko zależy od uprzezroczyszczenia fotografii pewnym mastiksem, a więc od recepty, lecz trzeba znów posiadać dużo poczucia estetycznego, rozumieć koloryt i umiejętnie, smacznie nakładać *bliki*. Tego trudno się nauczyć. Trzeba trochę talentu, a przedewszystkiem trzeba umieć kolorować.

Kolorowania zaś olejnego, którego pan malarz z ulicy Grzybowskiej podejmuje się wyuczyć w ciągu *jednego miesiąca gruntownie*, trzeba się uczyć w akademijach sztuk pięknych całe lata! Kolorowanie bowiem olejno, to *malowanie*, połączone jeszcze z wielu trudnościami technicznemi. Malarz, dobrze malujący olejno portrety, może w ciągu miesiąca pokonać trudności, nastręczające się przy olejnem kolorowaniu fotografii i wkrótce dojść do wprawy w tego rodzaju malarstwie. Dla osób zaś, niemających wyobrażenia o malarstwie, to strata czasu, pieniędzy i fatalny zawód.

Pan malarz z Grzybowskiej ulicy widocznie chce exploatować biedne pracowniczki, ostrzegamy je więc, bo to jest lep na niedoświadczone muszki.

Że też każdą rzecz wykrzyczeć sobie musimy. Nic dotychczas nie pomógł gwałtowny protest nóg naszych, zmuszonych ćwiczyć się w niezbyt sanitarnej gimnastyce na chodnikach, które oddawna już zrobiły rozbrat z powierzchnią płaską, chyląc się raczej ku wklęsłej, i to nielitościwie wklęsłej!... Miejmy jednakże nadzieję, iż głośne już w tej kwestyi trąby dziennikarskie sprawią wreszcie, że łaskawa municypalność zechce wziąć tę sprawę do serca, pomnąc, że niebiosa, obdarzywszy nas nogami, stworzyły je nie do gimnastyki brukowej, lecz wznioślejsze dały im przeznaczenie. Dla iluż to rodzin pracują one na pożywienie, dla iluż indywiduów droższym są skarbem od najwyższej części organizmu ludzkiego!

O kraino, mlekiem i miodem płynąca, czyś ty się spodziewała, że będziesz spichrzem dla wielkiego Zachodu. Oto dotknięci powodzią synowie krainy Franków, pukają do dobroczynnego serca twojego. Spieszże im z pomocą i pod skrzydło Offenbachowskiej muzy, którą zaprodukuje nam bawiące obecnie towarzystwo francuskie, obfitą znoś daninę!...

Rzadko, zaiste, na kartach pisma naszego, przychodzi nam zaznaczać prawdziwe „ślady życia," sumienną pracę inteligentnych i dobrze myślących jednostek. Dla tego też każdy tego rodzaju fakt chwytamy z radością i upiększamy nim dzieje społecznego życia naszego. Mamy oto przed sobą *sprawozdanie z posiedzenia Towarzystwa lekarzy w Lublinie*, zawierające wiele interesujących szczegółów. Grono młodych, inteligentnych specyjalistów zasiadło wspólnie do sumiennej pracy, i krzątając się około niej ochoczo, do pokaźnych dochodzi rezultatów. Posiadać już ono wkrótce będzie swoje własne muzeum, a w niem wiele ciekawych okazów, i, jak powiada sprawozdanie, będą mogli robić mikroskopijne poszukiwania, nie będąc zmuszonymi posyłać ciekawszych wyrobów do pracowni Uniwersyteckiej w Warszawie, skąd często nie udzielają im nawet żądanych odpowiedzi. Spora przytem biblioteczka, powiększana ciągle nowo wycho-

stoletni młodzian zdawał by się za mało poważnym do ślubów małżeńskich. Trudno jednak przeczyć wyraźnemu świadectwu hipaciejowskiej kroniki.

Mieszko stary przywiózł z sobą Elżbietę królewnę węgierską, matkę Ottona i Stefana, po której zgonie ożenił się z Eudoksyją, matką Ludomiły Wircho sławnej, księżniczki (od 1166) Lotaryńskiej na Bitche.

Na zjeździe wytoczyła się kwestyja, co począć z Agnieszką. Przychodziła bowiem snać pora rozpoczęcia jej edukacyi, a tej, stosownie do przyszłej roli księżniczki wypadało dać określony kierunek. Rzecz więc szła o to, czy ziemskiego czy niebieskiego męża oblubienicą Anieszka ma zostać? Zdecydowano się na pierwszego, bo Władysław, jako również mogący decydować o postanowieniu siostry swej przyrodniej, budził obawy, czyby odsyłanej do klasztoru w Zwiefalten na mniszkę nie porwał i nie użył za narzędzie przeciwnej interesom rodu Salomei polityki, wydając ją na Rusi, z którą też się niebawem w tych samych widokach spokrewnił przez syna. Łęczyccy notable postanowili zatem uprzedzić wielkiego księcia Krakowa i Szląska, i Agnieszkę lubo trzyletnią dopiero zaręczyli z Mścisławem synem Iziasława księcia halickiego. Było to niejako wypowiedzenie zgody i jedności działania rodzinnego przez synów Salomei synowi Zbisławy. Wszelako i druga strona niepozostała bezczynną, a rej tu wodziła dumnych zamiarów Agnieszka żona Władysława.

PIERWOTNE JESTESTWA ZIEMI.

Pierwociny życia — Ziemia w postaci mgławicy — Stopniowe jej rozwoje — Trzy warstwy atmosfery — Temperatura — Walka wody z ogniem — Martwota w okresie pierwotnym — Epoka sylurycza — Oceany dewonu — Flora węglowa — Porfiry i syenity permskie — Płazy okresu drugorzędowego — Wolcye i Haldingerye — Ammonity i bellemnity jurasu — Potworne jaszczury — Zamje — Olbrzymy krokodylowe — Polipy architektami pokładów ziemnych — Formacya jurasowa w Polsce — Utwór kredowy — Rozbójniczy Mososawrus — Wygląd ziemi w epoce pokredowej — Flora i fauna trzeciorzędowa — Nummulity — Kataklizmy potopowe — Epoka lodowa — Ślady istnienia w niej człowieka — Rozwoje życia w epoce diluwijalnej — Aluwium — Bohaterskie zapasy człowieka z przyrodą i jej tworami — Człowiek wychodzi z walki zwycięzko i zostaje panem ziemi.

(Dokończenie)

W Polsce utwór kredowy zajmuje rozległe wielce przestrzenie od południa i wschodu. Składa się on z piaskowców łupkowych i zielonych, z margli niebieskawych i z wapieni białoszarych lub czerwonych. Wszędzie, gdzie występuje ten utwór, panowało naówczas morze, w Lubelskiem w gub. Podolskiej, Wołyńskiej i Kijowskiej.

W okresie przechodnim prawami ziemi były głównie skorupiaki i ryby — w drugorzędowym płazy — w trzeciorzędowym zaś, występują zwierzęta ssące, mianowicie gruboskórne których przedstawicielem jest mamut. Belemnity i ammonity zniknęły, natomiast rozrodziły się w nieprzeliczonem mnóstwie nummulity i dziurkowce (otwornice Foraminifera). — Flora trzeciorzędowa zbliża się do naszej aluwijalnej, w lasach owoczesnych krzewią się drzewa przedstawiające pewne podobieństwo do dzisiejszych brzóz i dębów. Atmosfera, oczyszczona z wyziewów pary wodnej, sprzyja doskonalszemu rozkwitowi życia. Słońce, ogrzewając rozmaite miejscowości ziemi w nierównym stopniu, sprawia wyrazistsze odznaczanie się klimatów. Temperaturę ziemi cechuje ciepło zwrotnikowe, chociaż przy biegunach zima daje uczuwać swą potęgę.

Deszcze wylewają się jeszcze w potokach rzęsistych, powstają liczne rzeki — a w końcu tego okresu lody i wody zajmują położenie dziś wskazane na kartach jeograficznych.

Okres trzeciorzędowy obejmuje trzy epoki: *eoceniczną*, *mioceniczną* i *plioceniczną*.

W epoce eocenicznej krzewiły się w Europie obok brzóz, grabów, wiązów, orzechów i dębów, wysmukłe palmy z rodzaju *Flabellaria*, oraz tuje, cyprysy, sosny i jodły. Paproć reprezentowały gatunki *Pecopteris*, *Toeniopteris*, *Asplenium* — rozradzały się rośliny proteuszowate, entralyptusy oraz mchy wątrobowe, skrzypy i ramienice (chara) — a na wodach rotusy z kotewką czyli orzechem wodnym (Trapa matans).

Zwierzęta ssące, ptaki, płazy, ryby i owady składały faunę eoceniczną. W wodach pływały pelikany i żółwie — jaskółki morskie uganiały się za zdobyczą, a słomki kryły w sitowiu. Sowy szukały schronienia w wypróchniałych pniach drzew, sokoły wypatrywały żeru, a ciężkie krokodyle pełzały wśród bagnisk.

Oprócz gruboskórnych przejawiają się workowate, gryzaki i niedoperze. — Przeżuwających jakoto: wołów, baranów, kóz, jeleni, antylop tudzież koni niema, występują one bowiem dopiero w epoce pliocenicznej. W warstwach eocenu brak też zupełny szczątków kreta, jeża i chomika. Do najciekawszych typów tej epoki należały: niedoperz kopalny *Vespertilio Parisiensis*, Aligator wyspy Wight *Toliopicus*, żółw *Tryonix*, i ptak wykryty w Montmartre.

Z gruboskórnych występują w pierwszym planie *Palaeotherium Anoplotherium* i *Xiphodan*, zwierzęta roślinożerne, przedstawiające w ustroju mieszane cechy konia, nosorożca i tapira.

Wyobraźmy sobie nos, zakończony trąbą muskularną, małe głupowate oczy, ogromną głowę, przysadziste ciało, krótkie lecz niepospolitej grubości nogi z trzema palcami wciśniętemi w kopyta, nadajmy temu wszystkiemu wielkość konia, a będziemy mieć obraz zwierza zwanego *Palaeotherium*.

Obok niego przejawia się *Anoplotherium* wielkości osła z małą głową i ogromnym ogonem długim na 3½ stóp polskich, zwierz to roślinożerny — ogon posługuje mu za ster i wiosła w razie potrzeby przepływania rzeki.

---

dzącemi dziełami, stanowi obfitą skarbnicę dla pracujących specyjalistów. Towarzystwo wzywa swych członków nietylko do materyjalnego, lecz i do umysłowego popierania przedsiewziętej wspólnie pracy. Za tak zacne usiłowania, słuszne szanownym pracownikom należy się uznanie. Przypominają nam się tu piękne słowa Brodzińskiego: „Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch boży, a całość sama się złoży.“ Tylko drogą takiej pracy społeczeństwo podąży torem normalnego rozwoju i do błogich dojdzie rezultatów. Nie pustych, a bezużytecznych fajerwerków myśli, nie gorączkowej projektomanii, ale powolnej choćby a sumiennej w każdym zakresie pracy nam potrzeba!

Szanowny Redaktorze!

W jednym z N-rów Pisma pańskiego dano wiadomość, iż Władze Towarzystwa Kred. Ziem. dla uczczenia 50-cio letniej rocznicy istnienia swego wyznaczyły rs. 50,000 na pożyczki dla swych Urzędników. Wiadomość ta w części tylko jest rzeczywistą: istotnie bowiem Komitet Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie w roku bieżącym a tem mniej w dniu 13 Czerwca r. b., jako dacie jubileuszowej, wyznaczył rzeczoną sumę. Należy więc wyjaśnić, że urzędnicy Tow. Kred. Ziems. posiadają już od lat kilkunastu swój fundusz żelazny, z którego otrzymują pożyczki, spłacane potem w ratach miesięcznych. Lecz fundusz zakładowy okazał się niedostatecznym, a gdy przytem warunki egzystencyi, obok wzrastającej drożyzny, wymagały prędkiego zaradzenia potrzebom i spłacenia postronnych długów urzędniczych, Komitet przeto Tow. Kred. Ziems., wchodząc w smutne położenie urzędników, pożyczył kasie pożyczkowej urzędników rs. 50,000, z warunkiem, iż przy opłacie procentu 5% od tej sumy, będzie ją miał sobie powróconą w ciągu lat 10. Dobrodziejstwo więc to jest względnem, jakkolwiek nie przestaje być pewnem dobrodziejstwem. Dodać jeszcze należy, iż Komitet Towarzystwa objawił życzenie żeby strącania tych nowych pożyczek w ratach miesięcznych odbywały się dopiero od chwili podniesienia etatów urzędnikom.

Z tego wszystkiego więc pokazuje się, że fundusz 50,000 rubli na pożyczki udzielony najmniejszej nie ma styczności z tegorocznym jubileuszem Tow. Kred. Ziems.

Okoliczności te są mi wiadome, i dla tego upraszam o pomieszczenie niniejszego sprostowania.

Czytelnik „Opiekuna Domowego.“

Szlachetne popędy społeczeństwa naszego wznoszą się często w wyżyny prawdziwie podniosłej sztuki. Niech no tylko jaki przybyły z daleka sztuk-majster zapuka do czułych serc i otwartych sakiewek naszych, wnet bardziej jeszcze rozczulają się serca nasze i otwierają sakiewki. Nic więc dziwnego, że zabraknie nam nieraz na poparcie prawdziwej sztuki krajowej, nawet kiedy w pięknej szacie wytwórczości staje przed nami i zbiera grosz wdowi na ołtarz dobra ogólnego. Oto fakt wybitny. P. *Cypryjan Godebski*, jeden z najbardziej utalentowanych rzeźbiarzy naszych, urządził wystawę prac swoich i dochód z odwiedzania takowej przeznaczył na rzecz tanich

Xiphodan dochodził 3 stóp wysokości, licząc od nóg do łopatek, odznaczał się zwinnością i giętkością członków.

W okolicach Paryża znaleziono typ zwierzęcy z tejże epoki, to jest świnię rzeczną (Choreopotamus), podobną do amerykańskich pekary (Dicotyles), tudzież przodki zwierza jeżowatego zwanego *Adapis* i gatunek zbliżony do tapira któremu nadano nazwę *Lephodon*.

W głębiach morza żyły nummulity, z których pancerzy powstały skały zwane *wapieniami nummulitowemi*, napotykanemi tak w Pirenejach jak i w Egipcie. Z tych to skał zbudowano słynne piramidy Faraonów. Ileż to wieków musiało upłynąć, aby z maleńkich muszli wytworzyć pokłady na tysiąc stóp grube!

W następnej epoce zwanej mioceniczną obok palm i bambusów krzewią się rośliny wawrzynowate, groszkowe, tojnowate, marzanowate, klony, brzozy, wiązy, dęby i graby — platany i topole, drzewa pyszkowe mchy i grzyby.

Faunę miocenu pomnażają małpy z rodzajów *Pithecus antiguus* i *Mesopithecus* tudzież psy z gatunków zamieszkujących dziś Brazylię i Gujanę. Epoka ta cechuje się nadto obecnością zybety, świstaka górskiego, wiewiórki, szczura i zwierza żyjącego dziś w Ameryce zwanego *Oppossum*.

Z ptaków występują na widownią życia kosy, bociany, czerwonaki, kruki i wróble, z płazów żaby i salamandry. Wody słodkie zamieszkiwał okuń i aloza ryba wędrowna.

Do ciekawszych reprezentantów miocenu należą: *Paleomys*, *Maczotherium Dinotherium*, zwierz gruboskórny z olbrzymimi kłami, wreszcie kolosalny *Mastodont*. Do tegoż czasu należy odnieść utrzymujące się dotąd gatunki fok, niedźwiedzi, kotów, bobrów i tapirów. Z małp przejawia się nowy gatunek *Dryopithecus*, dorastająca wielkości człowieka i *Mesopithecus* ustrojem zbliżona do *makaka*.

Dinotherium, praszczur dzisiejszego słonia, zwierz roślinożerny przechodził ogromem Mastodonta i Mamuta. Mastodont prawdopodobnie uzbrojony był trąbą i potężnymi kłami. Jeden ząb tego zwierza, znaleziony pod ławicą kredową przez profesora Bartona ważył 56 funtów, w pokładach lignitu bardzo obfitych w eocenie i miocenie znajdujemy *bursztyn*, materyją żywiczną, która spływała z drzew w okresie trzeciorzędowym. Fale Baltyku odrywają z lignitów, zapełniających łożysko tego morza, kawałki bursztynu, który niegdyś cenionym był na wagę złota.

Florę plioceniczną odróżnia przedewszystkiem brak palm tak licznych w miocenie. Mastodont utrzymuje się jeszcze równie jak nosorożec dwurożny z przedzielonemi nozdrzami włochaty bez pancerza łuskowatego (Rhinoceros Tichorchinus), rozmnażający się bardzo licznie, a faunę tę pomnażają nowe przybytki: koń, jeleń, wielbłąd, byk i hipopotam. Jeleń, którego szczątki znaleziono w Indyjach, zwany *Sivatherium* z czterema rozłożystymi kolosalnymi rogami dochodził wielkości słonia.

Z płazów odznaczała się niepospolitych wymiarów salamandra której szczątki znaleziono w 1725 r. w bliskości wsi Oeningen w Szwajcaryi w kopalni wapienia łupkowego. Naturalista Scheuchzer uznał jej zwłoki za należące do człowieka przedpotopowego, uczeni owocześni zachwycali się tym okazem, którego szczątki ochrzczono i pochowano uroczyście. Dopiero Piotr Camper zwrócił uwagę na tę pomyłkę, a Cuvier okazał najwidoczniej że kości mniemanego przedadamity należały do olbrzymiego skrzeka ogoniastego.

Z ptaków pliocenu wymieniam orły, sępy, mewy, sroki, papugi, bażanty, kaczki, i kury.

W wodach przejawiały się pierwszy raz olbrzymie wieloryby i delfiny.

Europa w epoce tej zmienia postać. Dzisiejsza Francyja występuje z morza równie jak Niemcy, Węgry, Polska i w części Rosyja. Miejscowości, gdzie dziś istnieją, Warszawa, Wilno, Berlin, Hanower, Hamburg, Peszt, Wiedeń, Bukareszt, całkiem wynurzyły się z topieli morza.

Przechodzę do ostatniego okresu w historyi ziemi, zwanego *czwartorzędowym*, który cechuje się *potopami* i *peryodem lodowym*. Na arenę życia występuje wtedy wyraziściej człowiek, i po długiej krwawej walce z żywiołami i wrogiemi mu zwierzętami, wychodzi z niej zwycięzcą — a następnie staje się panem przyrody. Według najnowszych odkryć, człowiek istniał już w epoce pliocenicznej, nie wiele przecież się wyróżniał od otaczającego go świata zwierzęcego.

Potopy w Europie i Azyi i lody, przyodziewające ziemię białym całunem, oto cechy okresu czwartorzędowego. Dzieli się on na dwie epoki *diluwijalną* czyli *napływów dawnych* i *aluwijalną* to jest *napływów nowszych*. Fauna i flora tego okresu jest taż sama, jaką dziś znachodzimy z niejakiem wszakże różniczkowaniem. Reprezentantami diluwijum dziś już znikłemi z powierzni ziemi były: Mamut (Elephasprimigenius) Nosorożec włochaty z przedzielonemi nozdrzami (Rhinoceros Tichorchinus) Niedźwiedź jaskiniowy (Ursus spelaeus) Tygrys olbrzymi (Felis spelaea) Hyena kopalna (Hyena spelaea), Byk pierwotny (Bos priscus) i Jeleń kopalny (Cervus megaceros).

Z ptaków zaś *Dinornis* i *Epiornis*. W Ameryce istniały wówczas zwierzęta bezzębne: *Megatherium*, *Megalonyx* i *Mylodon*.

Mamut był olbrzymem tej rzeszy zwierzęcej, wzrostem dochodził 20 stóp pol., posiadał kły długie na 14 stóp. Ciało tego zwierza osłaniał włos gęsty i tworzył grzywę na karku i całym grzbiecie. Olbrzymi tygrys diluwijalny przenosił wzrostem wołu, zwierz zwany Megatherium pośredniczył między pancernikiem a leniwcem, rozkopywał on ziemię szukając żeru i schronienia, żywił się korzeniami i liściami drzew. Wysokość jego ciała przechodziła 8 a długość 13 stóp polskich. *Mylodon* przedstawiał ustrój zbliżony do leniwców podobnie jak *Megalonyx*.

Przechodzę do potopów Europy. Warstwy diluwijalne, przedstawiające wszędzie pokłady naniesione przez wody, olbrzymie potoki wód morskich, wyrzuconych ze swego łożyska w skutek wydźwigania się gór, zalewały naówczas lądy. Potopy także powtarzały się często,

---

kuchni, które, znajdując się w smutnym stanie, potrzebują silnego poparcia ogółu. Tymczasem, aczkolwiek wystawa trwała dość długi czas, a cena była stosunkowo umiarkowana, zaledwie skromna sumka 100 rubli uwieńczyła zacną myśl artysty.

Pomijając zresztą sam cel, na ołtarzu którego warto było złożyć odrobinę grosza, choćby jedynie ze względów estetycznych wystawa rzeźb p. G. zasługiwała, aby łaskawiej spoczął na niej wzrok znawców i miłośników sztuki. Ale prawda, p. G. jest naszym rodakiem, a my dla gości tylko chowamy należne względy, aby, opuściwszy nas z błogiem weselem w sercu i milszą jeszcze realnością w szkatułkach, sławili później gościnność naszego narodu i zachęcali swoich kamratów do odwiedzenia nas choćby z najbezczelniejszymi wybrykami oszustwa i blagery.

Rzadko napotykamy w młodej, bo 18-to letniej artystce tyle zasobów prawdziwego talentu, co w nowej debiutantce na scenie naszej, pannie *Deryng*, — artystce sceny lwowskiej. Gra nacechowana siłą szlachetnością i uczuciem, inteligentne obmyślenie całości i świetne blaski intuicyi w szczegółach — oto drogocenne przymioty, przy coraz większym rozwoju których młoda artystka zajść może na najbardziej podniosłe wyżyny sztuki. Szkoda doprawdy, że p. D. opuściła Warszawę i niewiadomo, czy kiedy znowu do niej zawita.

Nie przypuszczamy, aby Dyrekcyja Teatrów naszych miała dobrowolnie zrzec się tak drogocennego nabytku dla sceny.

W zeszłą Sobotę P. *Grabiński w Tivoli* przedstawił oryginalny utwór swojskiej muzy dramatycznej. „Nasi" pana W. hr. Bobrowskiego zawierają w sobie wiele nieźle podpatrzonego w życiu materyjału, którego jednakże autor nie umiał należycie zużytkować. Budowa utworu niezręczna, machinacyja sceniczna słaba, akcyja leniwa i pozbawiona żywszego intesesu, sytuacyje zużyte i anachroniczne, oto wady, stawiające utwór p. B. na nizkim stopniu twórczości. Charakterystyka typów ujemnych dosyć zręczna, ale postacie dodatnie blademi i powszedniemi skreślone barwami.

Wykonanie było w ogóle bardzo staranne. Pan *Swaryczewski* celował grą pełną szlachetności i uczucia. PP. *Grabiński Puchniewski* i *Zwoliński* dobrze pochwycili i umiejętnie uwydatnili charakterystykę przedstawionych postaci. P. *Laskowska* z uczuciem wypowiedziała swą wdzięczną rolkę. P. *Grabińska* z wysokim artyzmem wykonała rolę księżnej. Ale największe uznanie należy się p. *Sikorskiemu*, który z charakterystycznej postaci Sipsickiego zrobił typ nader barwny i oryginalny. W ogóle w artyście tym uwydatniają się spore zasoby talentu, któremu tylko potrzeba właściwej szkoły. P. *Swaryczewska* grała z inteligencyją, ale zabrakło jej trochę siły i uczucia, w skutek czego postać Adeli dosyć blado wykonaną została. PP. *Urbański* i *Trojacki* robili, co mogli, aby nie popsuć efektu całości.

Był oto skromny sobie człowieczyna, który aczkolwiek przywędrował z obcego kraju Germanów, szczerze się jednakże przywiązał do ziemi, która mu kawałka chleba nie poskąpiła.

— Tu żyję oddawna — mawiał zwykle — i tu umrzeć pragnę! Wprzód jednakże, nim

dwa z nich wszakże sprawiły największy przewrot w diluwijalnej epoce.

Pierwszy nastąpił na północy Europy, w skutek wydźwignięcia się gór Skandynawskich zalał dzisiejszą Szwecyją i Norwegiją, Rosyją Europejską i północne Niemcy. Ponieważ morza, przyległe biegunom pokryte były lodami, potop unosił je wraz z ogromnymi głazami, tak zwanymi *kamieniami błędnymi* jakie dziś często znajdujemy na naszych polach.

Drugi potop nastąpił w skutek wytworzenia się gór Alpejskich, zasypał on rumowiskami skał doliny Francyi, Niemczech i Włoszech.

Zaledwie otwarte kataklizmy przeszły, zniszczywszy milijardy jestestw, gdy nowy wrogi żywioł wystąpił. Północne i środkowe części Europy od półwyspu Skandynawskiego do morza Śródziemnego, uległy pladze nadzwyczajnego zimna. Płaszczyzny Europy, pokryte bogatą roślinnością, bujne pastwiska, żywiące stada słoni, koni, hipopotamów, przyodziane zostały śnieżystym płaszczem i lodowiskami.

Najprawdopodobniejszą przyczyną takiego oziębienia się powietrza była pomniejszona siła promieniowania słonecznego. Gwiazda, obdarzająca nas ciepłem i światłem odzyskała później swą siłę, i wszystko wróciło do porządku.

W peryjodzie lodowym wszystkie jeziora, rzeki i morza zamarzły; w owym to czasie wyginęło mnóstwo zwierząt — mamuty i nosorożce padały milijonami wpośród pastwisk zamienionych na pola lodowe. Dzisiejsze lodowce są niewątpliwem świadectwem istnienia tej epoki.

Pewne wskazówki naukowe nasuwają ten wniosek zresztą ze wszech miar usprawiedliwiony, że człowiek istniał już w owym czasie i przetrwał tę katastrofę równie jak potop azyjatycki, który nastąpił w skutek wylewu mórz spowodowanego wydźwignięciem się gór starej Azyi. Potop ten wszakże miał miejsce już w epoce aluwijalnej w jakiej dziś żyjemy.

Potoki i rzeki podmywały brzegi swych łożysk, a tem samem wyższe pokłady ziemne, ulegały powolnemu obniżaniu się. Najwydatniejszymi napływami teraźniejszymi (aluwialnymi) są wielkie trójkątnawe wyspy zwane *Deltami* powstające przy ujściu rozleglejszych rzek, jako to Nilu, Renu, Dunaju, Wisły. W czasach nam współczesnych powstały pokłady tufu wapiennego i torfowiska. Najobszerniejsze torfy napotykamy w dolinie Nowotargskiej pod Tatrami, ciągną one się w pasie na 3 mil długim a na wiorstę szerokim.

Zbierzmy w jeden zarys te rozmaite karty historyczne ziemi. Jak widzimy życie rozwijało się stopniowo, zwolna przechodząc od organizacyj najniższych do więcej wykształtowanych, doskonalszych.

W okresie pierwotnym panuje martwota, reprezentantem jej są głazy smutne milczące — w epokach należących do okresu przechodniego, rozkwitnięta flora przyodziewa ziemię wspaniałym płaszczem zieloności i kwiecia, niby kobiercem wzorzystym. Później występują na scenę życia zwierzęta, i wreszcie najdoskonalszy ich przedstawiciel człowiek. W epoce miocenicznej przejawia on zaledwie ślady tych cech, jakie mają go następnie uszlachetnić, wynieść nad poziom zwierzęcości. W epoce diluwijalnej człowiek, włochaty rycerz, ściera się z mamutami i tygrysami, walczy z żywiołami, wśród srogiej zimy, jaka go otacza i wychodzi zwycięzko z tego boju, w którym staje się bohaterem godnym homerycznej pieśni. Wreszcie w aluwijalnej epoce ludzkość dosięga najwyższego rozwoju — siłą myśli, potęgą ducha zawłada całym obszarem ziemi.

Zaiste piękna to jej karta dziejowa. To wyniesienie się człowieka z poziomu życia, do jego wyżyn, stanowi niezaprzeczenie najwyższą jego zasługę.

Wincenty Niewiadomski.

Dramat indyjski i jego związek z religiją,

PRZEZ

Edgara Quinet.

(ciąg dalszy).

Sakuntala. Myśl że ujrzę mego małżonka, zachwyca mnie, a jednakże siły mnie opuszczają, gdy mam rozłączyć się z tym lasem, przytułkiem mej młodości.

Dziewica. Słuchaj! słuchaj! i las także jęczy, że chwila rozłąki się zbliża. Gazela odtrąca trawę, dla się zebraną; pawie nie igrają po łąkach; rośliny opuszczają w lecie poblakłe swe liścia, znikły ich krasa i wonie.

Sakuntala. O mój ojcze! pozwól mi jeszcze pomówić z tym kwiatem madhavi, który nazwałam swą siostrzycą, i którego purpurowe bukiety błyszczą jak ogień w gąszczu.

Bramin. Moje dziecię, znam twą miłość dla tej rośliny.

Sakuntala. O najpiękniejszy z kwiatów! przyjmij me ostatnie uściski. Niech twe lijany obwiją mą szyję, wywzajemniając się za me pieszczoty! Od dziś dnia, pomimo rozłąki, będę zawsze z tobą. O mój ojcze! pielęgnuj tę roślinę jakby mnie samą!

Bramin. Wydam twą ukochaną roślinę za jej narzeczonego, drzewo amra, które w koło niej swe wonie wyziewa. Nabierz otuchy ma córko! i wybieraj się w drogę.

Sakuntala. Ach co mnie chwyta za połę sukni i wstrzymuje jeszcze?

Bramin. To jelonek, na którego mordkę tylekroć przykładałaś maść świętą, gdy się skaleczył ostrą trawą pastwiska. To ten sam jelonek, któregoś karmiła z ręki nasionami samyjaki. Niechce porzucić swej dobrodziejki.

Sakuntala. Czemu ty płaczesz, miłe stworzonko, za mną, która muszę opuścić schronienie nasze wspólne? Jak się tobą zajmowałam, matki pozbawionem przy urodzeniu, tak

---

umrę, pragnąłbym czemkolwiek przysłużyć się społeczeństwu, do którego całem sercem się przywiązałem!...

Poczciwiec ten miał jedno upodobanie. Chodowla dzikich i swojskich zwierząt była ulubioną jego rozrywką. Szczupłe nader dochody poświęcał na urządzenie zwierzyńca, ograniczając do *minimum* utrzymanie własnej egzystencyi. Już kilka niedźwiedzi, wilków i innych pomniejszych zwierząt spożywało całkowity dochód swego władcy. Pragnął on jednakże posunąć dalej rozpoczęte dzieło i uczynić go pożytecznem dla społeczeństwa całego. Udał się przeto do znanych i cenionych powszechnie mężów, ofiarując owoc długoletniej pracy, jako zawiązek instytucyi, mającej służyć ku pożytkowi całego społeczeństwa. Znani i cenieni powszechnie mężowie przyjęli propozycyją i urządzili zaraz kilka sesyjek przedwstępnych, później wstępnych i t. d. Debatowano, popisywano się z elokwencyją, robiono wiele propozycyj i obietnic.

Pragnąc przyspieszyć ukończenie dzieła, szanowny projektodawca wyrobił na swoje imię zezwolenie Władzy na zbieranie składek. Spora wnet zebrała się sumka. Zaczęto więc radzić, co z nią czynić należy.

Tymczasem zaszła niespodziewana okoliczność. Właściciel miejscowości, gdzie znajdowały pomieszczenie zwierzęta, wymówił tym biednym istotom *komorne.* Szanowny komitet obiecał postarać się o nowe *locum.* Widocznie jednakże w obec panującej obecnie drożyzny komornego, trudno było znaleść tanie a dogodne pomieszczenie, Nastąpił termin eksmissyi, i nic jeszcze nie zrobiono. Właściciel zażądał przetransportowania lokatorów ze wszelkiemi przynależytościami. Ale nie podobna przecież było wyrzucić ich na bruk, gdzieby zapewne, obrażone taką niegrzecznością, mściły się na całym rodzie ludzkim, tembardziej że kilkodniowy post podżegał ich krwiożercze skłonności. Właściciel miejscowości zawezwał komornika. Ale trudna tu sprawa. Łatwo wyrzucić na bruk nieruchomości, a nawet i ruchomości, ale ucywilizowane i spokojniejszej natury. Ale z istotami, którym obce są zupełnie wszelkie konwenanse światowe, sprawa zupełnie inna.

Tymczasem zrozpaczony właściciel zwierząt zwołał znanych i cenionych powszechnie mężów, celem naradzenia się nad losem nieszczęśliwych.

Szanowni mężowie okazali się nadzwyczaj punktualnymi i w naznaczonym czasie i miejscu zebrali się wszyscy. Zaczęła się narada. Zażądano przedewszystkiem od projektodawcy, aby przekazał komitetowi upoważnienie na zbieranie składek i zrzekł się wszelkich do niego pretensyi. Projektodawca znajdował się w tak rozstrojonym stanie ducha, że bez namysłu zadosyć uczynił żądaniu znanych i cenionych powszechnie mężów.

Lecz wnet doznał smutnych skutków swojej nierozwagi. Komitet uwolniony z więzów, jakie go przykuwały do projektodawcy, uważał za stosowne wyemancypować się zupełnie. Od tej też chwili odrzucił ofiarę i postanowił iść o własnej sile.

Spytacie się zapewne, szanowni czytelnicy

teraz mój ojciec przybrany, będzie cię pielęgnował. Odstąp już, idź, musiemy się rozstać. (Ściska swego ojca). Wyrwana z łona mego ojca, jak drzewina tamala z gleby gór Himalaja jakżeż cię przyjmę na gruncie obcym?“

Gdzież znajdziemy podobne rozmowy przedmiotów martwych, gdzież szukać indziej rozhoworów takich między człowiekiem a niemą naturą? W dramatach indyjskich, przesiąkłych jeszcze panteizmem Wedów,— drzewa, kwiaty, ścieżki mają duszę, głos, mowę, i Sakuntala pojawia się w ich gronie jak królowa kwiatów. Niektóre wiersze Homera, parę słów Tilokteta (Sofoklesa), który opuszcza swą pieczarę, przypominają ten odcień uczucia w greckiej literaturze. Lecz jakżeż on słaby w porównaniu, o ileż mniej tam kordyjalności, jakże to uczucie jest zewnętrzne! By człowiek tak pokumać się mógł z przyrodą, musi spędzić całe życie w jednej okolicy, i potrzeba, by zrósł się niejako z miejscem swego urodzenia. Lud indyjski, nieopuszczający nigdy swych dolin, mógł silniej od innych wypielęgnować w swem łonie to uczucie krewniacze dla swej ziemi. Każda jednostka unieruchomiona w swej kaście żyje jak roślina, w miejscu, gdzie istnieć poczęła. Społeczeństwo, i rodziny indyjskie, wiecznie w spoczynku, stanowią gatunek roślinności moralnej. To też indyjanin ma w części popędy rośliny, i było rzeczą naturalną, że krzyk rośliny-człowieka wyrwanej z ziemi odbił się przedewszystkiem w poezyi miejscowej. U ludów nowożytnych, jednostki zbyt często opuszczają swój zakąt rodzinny, aby mogły między niemi zadzierżgnąć się podobne węzły krewieństwa ludzko-telurycznego jak w Indyjach. Zbyt często europejczyk swe serce oddawał tu i owdzie, by się mogło gdziekolwiek zakorzenić! Przyroda nie wydaje krzyków żałosnych, gdy strącamy na nią prochy z nóg naszych. Każdy z nas, pątnik oddalony od strzechy swych ojców, stał się mniej więcej mieszkańcem całego świata. Nie wiążą nas delikatne powrósła roślin, które plątały pierwsze nasze kroki, i większość z nas jest w tym przypadku, że grobowiec nasz nie ujrzy naszej kolebki.

Aczkolwiek teatr indyjski liczy bardzo wiele sztuk różnego gatunku, politycznych, metafizycznych, satyrycznych; przecie Sakuntala z nich wszystkich najwierniej uwidomia ich cechy charakterystyczne w formie najszlachetniejszej. W istocie, główny bohater teatru indyjskiego, mający być wiernem odbiciem charakteru swej ziemi, nie mógł dźwigać na sobie ciężaru całego rozwoju dziejów. Nie nadawał się na niego ani Faust ani Hamlet, obaj pogrążeni w tęsknicy ponurej wieków średnich. Nie mógł nim być bohater uniesiony chęcią podboju nowego Ilijum, lub doktór rozpamiętywający czasy ubiegłe i wiek świata. Na heroinę indyjskiej sztuki mogła zdać się tylko dziewczyna, zagubiona gdzieś w głębi lasów zapadłych, której wszystkie popędy są odbiciem życia roślin otaczających jej kolebkę. Duchowni w ostępach głuchych mateczników kształcą ją w czci przyrody. Mieszka w chacie bramina, wylewa płynne ofiary na murawę. Posiada łagodność i wdzięki gazel, które żywi własną ręką. Spoczywa niedbale w cieniu tamali, zdala od hałasów świata. Nie jestże to, pytamy się raz jeszcze, wizerunek charakteru i dziejów szczepu indyjskiego? Dodam jeszcze, że pomimo wielożeństwa, stanowiącego grunt obyczajowości, uczucia, które ożywiają aktorów tej sztuki, posiadają łagodność iście chrześcijańską. Wielobóstwo greckie lub rzymskie nic podobnego nie przedstawia do tych objawów, które poczęte jakby z ewangielii, zaniósł uragan tajemniczy aż w głąb' tych ostępów indyjskich.

Sakuntala, to zabłąkana daleko siostra tego wielkiego cyklu kobiet chrześcijańskich, który zebrali poeci: to siostra Franciszki da Rimini (Tassa) Julii (Szekspira), Atali (Szatobryjanda). Wszelako najpodobniejszą do Sakuntali jest Wirginija (Bernardyna de Saint Pierre). Klimat jednakowy dał im rysy podobne. W osobie indyjskiej bohaterki wystawcie sobie narzeczoną Pawła, niebawem po urodzeniu osierociałą i w pustelni braminów chrztu wpływom wierną.

A jednakże, musimy przyznać, że dramat na Wschodzie pozostał w kolebce. Tragedyi tu niema prawdziwej, gdyż człowiek, wierny Bogu praojców, nie został jeszcze wydany na pastwę swych myśli. Ponieważ ma on tylko pozory woli osobistej, rzekome też tylko stacza walki. Serce jego, zgoła naprawdę się nie rozdziera, ani też siebie się nie wyrzeka; owszem bije spokojnie pod prawicą Boga, i burza tam niem ogarnąć nie może. Człek igra z boleścią jak Sakuntala z żądłem pszczoły zalotnej. Ziemia w sojuszu z niebem zawodzi na wszystkie tony pienia pochwalne, nabożne, głosi harmoniją. Tragedyi jeszcze niema. Wybuchnie ona z dążnością badania, zaraz z przewrotem wewnętrznym, z powątpiewaniem, po nasyceniu ciekawości miłosnej. Na to wszystko trzeba czekać do.... Grecyi!

Tłomaczył Ilenid.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

Pan Marszałek, zamożny okolic Sandomierskich obywatel był praszczurem moim i miał dwunastu synów. Dziadek mój zatem był jednym z tych lampartów, którymi niebo w błogosławieństwie swojem obdarzyło jego rodziców. Chociaż rodzice byli zamożni, gdy tak liczną rodzinę trzeba było wyposażyć, nie starczyło na to sześć folwarków, i fortuna bardzo się rozdrobniła, a bracia, rozproszyli się w większej połowie po świecie, szukać środków do zwiększenia trzech tysięcy obrączkowych holendrów, jakie każdy z domu ś. p. rodziców swych wyniósł.

Dwóch z tych braci razem prawie zginęło jednego dnia, przy zdobyciu Saragossy, a ciała ich przy sobie w jednej szerokiej trumnie zło-

co było przyczyną takiego postępku. Oto bardzo prosta okoliczność. Zacnym i cenionym powszechnie mężom, szło bardziej daleko o to, aby zatrzymać w swej dłoni berło najwyższej władzy, aniżeli o losy samej instytucyi. Szanowni ci panowie wolą rządzić nad zwierzyńcem, choćby fikcyjnym dopiero, aniżeli być zależnymi od kogoś ofiarującego im aczkolwiek maleńki jeszcze, ale rzeczywisty. Tymczasem projektodawca chciał zarządzać zwierzyńcem i odrzucił dawaną mu posadę sekretarza.

— Nie chcę siedzieć przy biórku, ja pragnę być przy moich zwierzętach, które się do mnie przyzwyczaiły i ja do nich. Zresztą czyż znajdziecie odrazu innego nadzorcę — mówił on do komitetu.

Lecz niestety, fatalna wada *półkownikowstwa* zgubiła zwierzyniec. Skoro bowiem komornik nie mógł nic zrobić, zawezwano uprzątaczy, którzy usunęli wszystkie dzikie zwierzęta.

Szybko obraca się koło postępu na społecznej arenie życia naszego. Niech no tylko powstanie jaka myśl prawdziwie pożyteczna, a z pewnością nie upłynie nawet lat dziesiątka, i oto oblecze ją wspaniała szata czynu. Od jak dawna w jednym z największych prowincyjalnych grodów naszych pracuje specyjalnie wydelegowany komitet dla ułożenia projektu ustawy Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, o tem wiedzą wszyscy, którym nie obce są dzieje partykularza naszego. „Robota nie zając, nie uciecze, lichwa nie kryminał, nie zabije!“ Mogą sobie biedni urzędnicy i inni mieszkańcy Kalisza posiedzieć jeszcze kilka latek w głębokich kieszeniach Mośków i Aronów, albo im tam źle i niewygodnie. „Co nagle, to po dyjable“ — trzeba rzecz opracować gruntownie i z namysłem.

Ale... wracając do projektu ustawy, zaznaczyć musimy, że twórcy jego, myślą o krótszej drodze do celu. Oto pragną oni aby kredyt miejski wtulił się pod skrzydła ziemskiego, czyli, mówiąc językiem oficyjalnym, chcą aby przy Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem utworzono oddział miejski. O ile myśl ta okaże się praktyczną, przyszłość najlepiej nas przekona.

— Jak się masz? Gdzież jesteś?

— Jestem... *białym murzynem*...

— Nie rozumiem.

— No-to... *pisarzem łokciowym*...

— Tem mniej jeszcze.

— A więc słuchaj. Jeżeli cię los lub inne okoliczności wytrąciły z urzędowej posady; jeżeliś stracił majątek lub inny jaki zarobek— jeżeli przytem masz żonę i dzieci, jeżeli jednem słowem zawiodły cię wszelkie nadzieje, nie udały się wszelkie plany, jeżeli nie możesz liczyć na pomoc rodziny i nie grasz *arte* w bilard, a pozostała ci tylko jedna zdolność... stawiania jako tako foremnych liter... nie zginąłeś, możesz zostać... *pisarzem łokciowym* to jest kopijować *wyroki sądowe*, na arkusze.

Chcesz wiedzieć kto jest ów pisarz łokciowy? Jest to masa mięsa, w której zamarło serce, rozum i czucie, wszystkie członki pozo-

żone, bracia orężni związali wieńcem nieśmiertelników. Jeden zginął w pojedynku, drugi płynąc do S. Domingo, trzech od chorób zaraźliwych pomarło, a najstarszy, będąc adjutantem Naczelnego wodza, dobił się wkrótce wysokich stopni wojskowych.

Nakoniec, czterech braci osiadło na zagonach, z razu w prawdzie dość odlegle od siebie położonych, ale wkrótce, potrzeba bratniego serca, a miłość i zgoda rodzinna, tak ich powoli do siebie zbliżały, iż z ziemi do ziemi przesiedlając się znaleźli się niebawem w sąsiedztwie swojem, z jednej strony pasem Sandomierz okalając. Stąd, zwano ich „braćmi prawej ręki,“ niby tak zgodnie i po bratersku działającymi, jakby nie przymierzając, obsługiwała ich ręka prawa, bardziej niż inna część ciała naszego do tych posług uzdolniona.

Dziadek mój, najmłodszy syn tej nader licznej rodziny, lubo serdecznie przez braci kochany, najnieszczęśliwiej zawsze wśród nich wychodził. Starsi bracia trzymając się kupy broili osobno; młodsi osobno. Tamtych, psoty i figle nie dawały sypiać spokojnie po nocach sąsiadom, młode i ładne córki zwłaszcza mającym na wydaniu a obawiającym się broń Boże jakiego nieszczęścia; bo wszystko to tęgie były chłopaki, a panny w ogieńby za nimi poszły. Tych znów, bójki ze sobą i hałasy dom cały do góry nogami wywracały.

Praszczur, dla marszałkowskich obowiązków urzędu swego. na długo nieraz dom opuszczać był zmuszony. Prababka zatem, nie mogąc sobie rady dać z chłopakami, uzbroiła się boćkowskim, i tak nim z potrzeby dzielnie się władać nauczyła, iż gdy winni, zoczywszy ją pierwsi najczęściej oknem parterowem do ogrodu wyskoczyli, dziadek mój nieboże, lub któryś z młodszych braci, plagi za nich dostawali, nie mogąc zdążyć za tamtymi, i ostatni z placu boju uciekając. A gdy czasem w popłochu ucieczki na kupę się zwalili, pro memoria odbierał ten, co był na wierzchu.

Nie bardzo to może słusznem było, ale matka rodziny tą racyją się rządziła, iż gdy wszyscy winni byli, każdy z nich zatem oberwać musiał swoje z kolei. Dowodnie też z powyższego szczegółu okazuje się, że wszystko to w ogniu było kąpane, i hałastra ta, wśród wrzawy poobiedniej, a kłótni o byle co, nożami nieraz i widelcami kaleczyła się, lub w zapale tłukła całą zastawę stołową.

Długo rozmyślała prababka nad sposobami jakiemiby zaradzić można, tak szkodliwym dla kieszeni wybrykom lampartów, i wpadła nareszcie na myśl dobrą a praktyczną. Kazała zrobić ciężki stół dębowy, nogami wbić go w podłogę i w podobnyż sposób ławy koło niego umocować, a łyżki, noże i widelce, przybić do stołu na mocnych stalowych łańcuszkach; porcelanę zaś cyną zastąpić. Wszystko zresztą z pokoju jadalnego uprzątnięto, i gdy panicze jedli, pachołka w drzwiach jadalni stawiano, zaleciwszy mu pod karą osobistą, aby natychmiast dawał znać pani Marszałkowej, skoroby hałas jaki nieuśmierzony między paniczami wybuchnął.

Stąd, biedaczysko „cerberem“ przez nich nazwany, nie mogąc zuchów uspokoić, a skarżyć się na nich nie chcąc, gdy się bójka ich wydała, sam niewinnie plagi za nich odbierał. Ale i cóż miał wreszcie robić nieborak? Gdyby się był skarżył na nich przed panią, wiedział dobrze że mu tego nie darują, i taką gorącą przynajmniej sprawią łaźnię, jak ongi jednemu z pachołków, Sobkowi, co go mimo krzyku i oporu, do naga rozebrali i w pokrzywy zawlekli.

Ale chociaż to gorące były dyabelnie, poczciwe za to w gruncie duszy, i nieraz zdarzyło się że spotkanego na drodze obdartego biedaka, zwleczonem ze siebie ubraniem w momencie okryli.

Rozczulający też był widok jak nabroiwszy porządnie, gdy marszałkowa była zagniewaną na nich, i przed oblicze swoje puszczać ich nie kazała, hurmem przez otwarte okno wpadali do pokoju matki, i plackiem do nóg jej padłszy wystraszoną jeszcze z fotelem porywali na ręce i wśród popłochu francymeru, z wielką wrzawą a tryumfem obnosili po komnatach rozpromienioną taką miłością synów.

Z nich wszystkich jednakże, dziadek mój, może dla tego że najmłodszy, zatem jak zwykle najsilniej przez matkę kochany, może znów, że największą odznaczał się między braćmi łagodnością charakteru w dziedziństwie łaski matki posiadł. I ciepłą też jeszcze ręką za życia marszałkowej, chociaż to wielką dla braci było niesprawiedliwością w zaleconym sobie przed nimi sekrecie, z oszczędności na garderobie matczynej, półtora tysiączka dusiów do kieszeni dostał. Miał też czem zagospodarować się porządnie, a ładowi jego i pracy tak Bóg dopomagał, iż wyszedłszy z domu rodziców, znalazł się niebawem panem dwóch intratnych folwarków.

W kilkanaście lat potem, wypadki srogą burzą i zamętem huczące w Europie i nas nie zostawiły w pokoju, a Sandomierz przez Austryjaków zbombardowany został. W wypadku tym, matka moja, młodziuchną jeszcze ówczas będąc panienką dała dowody niemałej odwagi w różnych okolicznościach.

Duży murowany, okazały dom dziadka stał w środku miasta, z pokaźnym gołębnikiem, wśród klomba drzew na dziedzińcu, i z wielkim ogrodem dokoła dom okalającym. Ale tak cały już bombami poryty został, że stał się istną kupą gruzów i ocalało w nim tylko cokolwiek jedno skrzydło, a w niem pokój sypialny babki, w którym piękny Matki Boskiej Częstochowskiej mieścił się obraz. Wszyscy też domownicy na noc do pokoju tego chronili się.

Matka moja i babka. nieustanną trwogą o życie, a ciągłem czuwaniem, tak były jednej nocy znużone, iż mając już wszystko w kufry spakowane na wszelki wypadek, nierozebrane rzuciły się na posłanie i twardym snem w krótce zasnęły.

Bomby i race kongrewskie szybowały wśród pochmurnej nocy we wszystkich kierunkach, świszcząc i długie złowrogie ogniste ogony wlokąc za sobą. Nie była może więcej jak druga godzina po północy, gdy granat wpadłszy nagle oknem do pokoju, pękł pod ścianą ostatniego owego schronienia, i zasypał gruzami całą sypialnią, zabiwszy odłama-

---

stają w bezwładnej martwocie, a tylko czynną jest ręka... ślizgająca się szybko piórem po arkuszach papieru.

— Dla czegóż to łokciowy?

— Ba! bo kto za arkusz pisma bierze 5 kopiejek, ten nie może pisać inaczej jak tylko stawiając litery w wierszach na łokcie. Wyobraź tedy sobie ile to potrzeba wypisać arkuszy, aby utrzymać żonę i dzieci!

— Ależ niepodobna żeby człowiek mógł się zgodzić na podobną pracę!

— Żartujesz, mój kochany, konkurencyja jest tak wielka, że do pisania wyroków docisnąć się niepodobna, że często za owe miejsce, za ten zarobek czyli raczej powolnego zabijania się płacą spore kwoty, że zdarzają się *entreprenerzy* którzy mają jeszcze swoich pomocników, płacąc im po trzy kopiejki za arkusz.

— Zdaje mi się, że podług prawa arkusz wyroku kosztuje kop. 45.

— Nie, tylko 22½ kop. Odlicz z tego 5 kop. dla piszącego, 2½ kop. dla pomocnika pisarza, 1 kopiejkę za papier—pisarz otrzymuje 13½ kop. Więc jakże może robić ustępstwa? W dodatku pismo powinno być nadzwyczaj wyraźne i szerokie, ciągliwe jak platyna. Ten kto więcej z arkusza ukuje kopijowych arkuszy, ten ma większy zapas roboty, ten jest ceniony — ubóstwiany. Za krwawe życie, za krwawą pracę żadnej opieki, żadnego współczucia. Rób, a jeżeli nie masz zdrowia, wynoś się gdzie pieprz nie rośnie.

Poczciwy *Wosio* ze łzami w oczach uściskał mię serdecznie a był blady jak śmierć, pokaszlywał, chudy jak szkielet biedaczysko — nie znał grożącego mu nieszczęścia. Zabijał się istotnie powolnie ale pracować musiał... bo nie umiał nic więcej prócz foremnego stawiania liter.

O szlachetni adepci Merkurego, kiedyż ideja praktycznego komunizmu przestanie być główną dźwignią lichej egzystencyi waszej!.:. Kiedyż na karcie dziejów chwili obecnej przestaniemy zapisywać wiekopomne dzieła zręcznej finansowej manipulacyi waszej! Kiedyż przyjdzie chwila, że kasy pryncypałów przestaną nęcić groszożądne serca wasze! Zaiste wtedy zapewne, kiedy wielcy propagatorzy postępu raczą łaskawie zajrzyć do mózgów i serc waszych nie z pustą bańką szumnych frazesów, ale z jasną pochodnią czynu i reformy. Kiedy nastąpi ta błoga chwila? Niestety, prawdopodobnie piszący te słowa, aczkolwiek niezbyt obciążony jeszcze ciężarem lat, nie zdoła jej doczekać!...

Zaczynamy się klasyfikować jakoś dziwacznie. Dość przeczytać karty do wynajęcia mieszkań.

Pokój dla osób pojedyńczych!

Mieszkanie dla kawalera lub panny pojedyńczej płci.

Mieszkanie przy familii, dla panny przyzwoitego prowadzenia.

Ostatni ten anons wyczytaliśmy na domu przy ulicy Freta wązkiej, po stronie flizów.

Ciekawiśmy czem udowodnić ten przymiot?

Pokazuje się, że i do wynajmu lokalu, nie-

mi swymi na miejscu, pannę pokojową tuż przy łóżku matki mojej spoczywającą z głową wspartą na ręku.

Na straszliwy huk pękającego granatu, matka i babka jednocześnie z łóżek się zerwały a sądząc że dom się wali do reszty, uchwyciły wielki kufer z kosztownościami między łóżkami stojący i w momencie zniosły go do piwnicy, nie czując nawet ciężaru. A nieustraszone, wróciły jeszcze zaraz i po resztę pakunków ale spotkały już na schodach wylękłych domowników znoszących takowe.

Dziadek długo potem nie chciał wierzyć tak nadzwyczajnej sile i odwadze dwóch wątłych kobiet, zwłaszcza też gdy dla próby, z jednym z pająków swoich do kufra tego przymierzył się, i ledwo go za antabę podźwignął. Cały ten kufer był bowiem naładowany srebrami i kosztownościami, a najmniej trzysta funtów ważył. Tak to w trwodze i najsłabszym siły przyrastać zwykło.

Po wyjściu z niewoli austryjackiej chociaż czasy uspokoiły się a pomyślność zrujnowanych obywateli, do dawnego wracać zaczęła stanu, dziadek przecież, humoru swego dobrego i spokoju, straciwszy w owej przygodzie Sandomierskiej cały majątek, nigdy już nie odzyskał; pomimo nawet, że spadkiem po bezdzietnym stryju, raz jeszcze cokolwiek poratował się, kupiwszy w miejsce zrujnowanego, dwa nowe domy w Sandomierzu.

Pocieszał się tedy jak mógł i huczne sprawiał biesiady, a zdarzało się nieraz, że przy zwyczajnych nawet większych poczęstowaniach domowych, same wino wypite przez gości — tysiączek lub więcej pochłonęło. Ale były to zbytki niepotrzebne, którym rozumie się, że nie mógł już podołać dochód z obu rzeczonych kamienic. Przyszły zatem długi, a dziadek staranne w młodości otrzymawszy wychowanie, chcąc uratować resztki majątku dla babki i matki mojej, które kochał nad życie, został palestrantem Sandomierskim.

Przy tych wszystkich udręczeniach, nie mógł on sobie wyperswadować obecnego stanu rzeczy, i stał się nader zgryźliwym a dokuczliwym. Matce mojej było na imię Józefa, z włoskiego nazywał ją Pepi, i pod wpływem wypitych czasem paru butelek wina wołał:

„Pepi! stój na jednej nodze!" „Pegi! graj mi na gitarze!"

I posłuszna córka — stała lub grała na rozkaz ojcowski, najmniejszem drgnięciem lub zmrużeniem powieki, nie dając poznać po sobie że wola ta arbitralna mogła się jej niepodobać!

Biedna Pepi! jakaż to córka była kochająca i poświęcona! Wiedząc iż ojciec desperuje ciągle i opuszcza się, a ztąd liczna adwokacka jego klijentela na różne przykre straty i zawody może być narażoną, troskliwie zaczęła badać prawo, przysłuchując się obronom, a rozczytując, w głosach prawnych i motywach wyroków. I benedyktyńską prawdziwie cierpliwością zdobyła sobie całą prawie adwokacką wiedzę radząc się tylko ile potrzeba wypadła, w kwestyjach form prawnych pracujących w domu dependentów.

Dziadek późnym wieczorem wróciwszy do domu, rzucał się najczęściej na łóżko lub kanapę — nie rozebrany; — matka moja zatem zbliżała się do niego po cichu i rozwiązawszy mu chustkę na szyi, okrywała go starannie i do całonocnej zabierała się pracy.

Dziadek oprzytomniawszy nazajutrz przypominał sobie zaległe sprawy i niespokojny szedł do biórka; ale ku niezmiernemu zdziwieniu swemu, zastawał wszystkie interesa na wokandzie będące, tak opracowanymi, — że cokolwiek w nich tylko zmienić, lub właściwe paragrafy zacytować trzeba było, aby wszystko było gotowe do obrony.

Ściskał więc ze łzą rozczulenia w oku—Pepi swoją kochaną, — ściskał i całował czule, ale nałogu swego nieszczęśliwego nie rzucał; choć go gromił o to często serdeczny jego przyjaciel z ławek szkolnych, — biskup Prosper Burzyński, infułat dyecezyi Sandomierskiej. Biskup łajał i wyrzucał, a dziadek broił po dawnemu, ciągłą przyrzekając poprawę. Snać jednak nałóg — silniejszym był od przywiązania i dziadek nie rzucał go, chociaż wszyscy wiedzieli jak gorąco kochał biskupa.

Mniej już wszakże matka moja zważała teraz na to dziadka przyzwyczajenie, dobrze będąc obznajmioną z biegiem interesów, i z urzędu prawie zastępując go. Coraz mniej też napotykała spraw takich, w którychby jeszcze rady lub pomocy innych adwokatów, — i przyjaciół dziadka serdecznych zasięgać była zmuszoną. A obywatele okoliczni — znali się znów na rzeczy, — i widząc ważne nieraz sprawy swoje, bronione w sposób szlachetny i z wielką zdolnością, a dowiedziawszy się czyje to dzieło, — z wrodzoną sobie galanteryją, kobiecemu temu juryście, w postaci młodej i ładne:, zapłonionej przed nimi panienki, dwoiste wręczali honoraryja. Tak więc, gromadziły się na raz w jej ręku pięćdziesięcio-dukatowe i wyższe częstokroć sumki, a o byt rodziców ukochanych — niepokoić się już nie widziała ona potrzeby.

Dziwne też w owych czasach zaszło raz zdarzenie, w jednym z dyecezyjalnych Sandomierskich klasztorów, o którem matka moja rozpowiadała mi w dzieciństwie.

Wstąpił tam do zakonu ksiądz młody i pobożny. Wdzięcznie odbijała się kształtna jego postać pod ciężkim habitem. Chód miał pański, czoło jasne, wysokie, karminowe usta i włos gęsty, kruczy, jedwabistego połysku. Czarne zaś duże i wyraziste oczy jego, silne na wszystkich i sympatyczne robiły wrażenie, mimo pokory właściwej zakonnikowi, która mitygować kazała, magiczną siłę tego wzroku.

Dziwne o nim chodziły wieści!

Mówiono tedy, że zakonnik był hrabią; że kochał się w księżniczce; że nie chciano wydać jej za niego, bo chociaż był szlachcicem, ale podupadła jego fortuna zbyt szczupłą była, aby godnie podtrzymać książęcą mitrę dumnej magnatów rodziny.

Księżniczka szalenie kochała hrabiego i nikomu innemu ręki swej oddać nie chciała.

Jednego dnia tedy otworzyły się furty dwóch klasztorów, i zamknęły na zawsze wrze-

---

zadługo potrzeba będzie kwalifikacyi. To cokolwiek zawiele.

Panowie właściciele czy nie chcą jak ongi w Austryi za czasów *Józefa II* utworzyć *komisyją moralności.*

Warto powiedzieć słów kilka o tak zwanych *mieszkaniach przy familii.* Młodzian zaopatrzony w niedostateczne fundusze, szczególniej uczniowie uniwersytetu, chórzyści, i prawie cała ilość niższych oficyjalistów sądowych, oraz rzemieślnicy, zmuszeni są rachować się z groszem, dla tego szukają przytułków stosunkowo tanich. Często uciekają się do tego i starsi, dojrzali, gdy im los nie dopisze, lub niespodziane straty poderwą utrzymanie, a z pracy rąk własnych trudne i szczupłe bywają zarobki. Otóż po peregrynacyi całodziennej przez Stare Miasto i ulice doń przytykające lub wreszcie i po innych miasta dzielnicach, nakoniec znalazłeś odpowiednie *locum.* Znużony, zły, kwaśny, windujesz się na 3-cie piętro, na *facyjatę.*

Gospodyni, która zwykle bywa albo wdowa, albo rozwódka, albo li też należy do małżeństwa bezdzietnego, zaoszczędzające się również, jak ty obecnie, tak ona na przyszłość, przyjmuje cię dość podejrzliwym wzrokiem. Już to tam bystremu oku nic nie ujdzie. ani wątpliwa białość twej koszuli, ani cokolwiek przetarte na rękawach ubranie, ani *długotrwałość* twoich kamaszek, ani nawet *lustr* i czarność *cylindra.* Kiedy rzut przelotny ogólnie wypadł korzystny, *niewiasta* z uśmiechem na ustach prosi siedzieć i rozpoczyna się indagacyja.

— Pan pojedynczy?

— Co to?

— Nie masz pan ani żony, ani dzieci, ani siostr lub krewnych?

— Wszak Pani Dobrodziejka wynajmuje dla kawalera, a ja jestem człowiekiem wolnym.

— Z pościołką czy bez?

— A jakże!

— Pan pracuje w fabryce czy w biórze, ma pan stałą pensyją, czy tylko dochody tygodniowe?

— Jestem literatem!

— Nie mogę Pana przyjąć; to ludzie gorączkowi, niepraktyczni, burzliwi a jak pan widzisz, mam pięć łóżek i wszystkie zajęte przez rzemieślników, potrzebujących spokoju i wywczasu.

Jeżeli zaś powiesz, że pełnisz obowiązki jakiego tam pisarza lub oficyjalisty, rzecz się zmienia. Po *admonicyi* płacenia regularnie z góry 2 rubli miesięcznie, utrzymywania łóżeczka w należytym porządku, przychodzenia wcześnie i nieprzesiadywania w domu po całych dniach, proszą cię o wprowadzenie się natychmiast i złożenie dowodów meldunkowych.

Bywa zwykle, takich biedaków sześciu lub ośmiu — pani domu śpi pośrodku, na wysoko usłanem łożu, i używa praw absolutnej rządczyni. Kto przyjdzie pierwszy, obowiązany jest otworzyć drzwi drugiemu i tak następnie, pani nigdy nie wstaje w nocy, z obawy o *dość kwitnące jagody i pulchność białych członków.* Życie tu istotnie familijne. Wszyscy starają się mieć wszystko, wyłącznie dla siebie, oprócz tych, którzy zostają na *usłudze* samej pani

ciądze za nowym Abelardem i Heloizą, którzy żyć razem nie mogąc, poprzysięgli sobie bezżeństwo, zakonnymi ślubami związawszy się na resztę życia.

Jak tam było w rzeczy samej — nie wiadomo, dosyć, że obywatele i cała ludność okoliczna, zbiegli się na prymicyje młodego hrabiego, bo cała ta przygoda z natury swej, była już o tyle romantyczną, że silnie interesując płeć piękną, za wpływem jej i resztę miejscowej ludności zaciekawiła.

W kilka dni po prymicyjach swoich młody ksiądz nagle zmarł, i ogólnie zaczęto przypuszczać otrucie i intrygę książęcej familii, która mając znakomitą partyją napiętą dla księżniczki, nie związanej jeszcze ostatnimi zakonnymi ślubami, gwałtem z klasztoru wydobyć ją pragnęła. By zaś stanowczo usunąć jej opór, postanowiła ona zgładzić ze świata ideał księżniczki, owego młodego hrabiego, rozwiązując tym sposobem i poprzysiężony mu ślub bezżeństwa.

Wielkie było zainteresowanie wszystkich ale też i zdziwienie nie mniejsze, gdy się dowiedziano iż księża oparli się egzenterowaniu nieboszczyka, jakoby na dni kilka poprzednio już chorującego i nie zmarłegonagle, jak upornie krążące wieści utrzymywały.

Nie wiadomo komu było wierzyć? broniącym egzenteracyi nieboszczyka księżom, czy posądzającej ich o współudział jakiś w tej tajemnicy ludności, i ciało młodego księdza zostało wystawionem na katafalku kaplicy klasztornej, w skromnej zakonnej trumnie, a do pilnowania takowego, przyjętym zwyczajem wyznaczono dwóch laików.

Mróz był silny. Siedząc przy ciele w nieopalonej kaplicy, obaj laicy posmutnieli bardzo i nie mogli oprzeć się chęci snu.

— Wiesz co braciszku, rzekł jeden z nich nareszcie do drugiego, zejdę ja do piwnicy i przyniosę dzban miodu, to się może obadwaj cokolwiek orzeźwimy.

I zapaliwszy stojącą na ziemi latarnię, a nie czekając odpowiedzi drugiego—wyszedł.

Laikowi który pozostał przy ciele hrabiego dziwna wtedy myśl przyszła do głowy: wyjąć nieboszczyka, a posadziwszy go w swojem miejscu przy stole, samemu się w trumnie położyć. I jak pomyślał tak zrobił. Więc leży spokojnie z nawpół zamkniętemi oczami, i patrzy ciekawie co z tego będzie?

Laik, który zeszedł do piwnicy, i wrócił z dzbanem miodu, postawił go na stole przed kolegą, ale widząc że tamten ani się nawet nie odwraca do niego, i ciągle tylko siedzi oparty na łokciach a nieruchomy, zbliżył się do niego i trącił go po ramieniu.

— Cóż to, spisz bracie? No, obudź się kochanku, bo dzban już na stole.

Ten—ani się ruszył.

— No! obudź że się śpiochu! Cóż myślisz sobie, że ja sam temu dzbanowi poradzę? ho, ho! — to trochę za wiele na jednego.

I tą razą jednakże nie odebrał żadnej odpowiedzi, a tylko jedna ręka siedzącego obsunęła się bezwładnie, i cały zwalił się na stół. — Zbliżywszy się więc do niego niecierpliwie, silnie pochwycił go za dwa ramiona i wstrząsłszy nim gwałtownie — zawołał:

— Eh! dosyć już tych żarcików. — Wstawaj mi zaraz ospalcze!

Pod tem gwałtownem wstrząśnięciem, siedzący podniósł zwolna głowę, westchnął ciężko i z trudnością opierając się o stół—powstał, trupio bladą twarz swoją zwróciwszy ku mówiącemu.

Skoro jednakże Laik — spojrzał w tę twarz, zachwiał się na nogach, i krzyknąwszy tylko z przerażeniem: Jezus, Marya! z głuchym jękiem, bezprzytomny potoczył się po marmurowej posadzce kaplicy.

Młody hrabia, po otruciu swem, zapadł był w letarg, a z letargu wydobył go dziwny przypadek. Widząc tedy — jedno jakieś nieżywe ciało w trumnie, a drugie — bezprzytomne na podłodze, biedny ksiądz osądził, iż nadszedł wreszcie dla niego czas oswobodzenia, i tylko co zakosztowawszy śmierci pozornej i trucizny, —nie miał wcale ochoty zapoznać się powtórnie zbliska, — z temi pięknemi rzeczami.

Mając tedy otwartą drogę ucieczki z klasztoru i ratowania życia, skwapliwie skorzystał z tej sposobności, i przy pomocy jak się zdaje obywateli okolicznych, przebrał się do jednego z klasztorów sąsiedniego kraju, gdyż nigdy już o nim w Sandomierskiem nie zasłyszano. Zaniechał też jak widać, rozpoczęcia kroków prawnych o ukaranie swych trucicieli, może z tej racyi, aby nie ściągać hańby na książęcą rodzinę i imię, które jednocześnie było własnością ubóstwionej przez niego kobiety.

Wkrótce tylko rozeszła się wieść, że gdy dowiedziano się o letargu i zmartwychwstaniu księdza, jeden z plenipotentów owej książęcej rodziny, następnej zaraz nocy znaleziony został w łóżku bez życia, stryczkiem we własnym pokoju uduszony. I domyślano się, że to on, z książęcego rozkazu lub namowy, grubo najpewniej zapłacony, a w ciągłych z klasztorem stosunkach zostający otruł hrabiego, i lękano sięmoże, aby rzecz cała przez niego najaw przed światem nie wyszła.

Smutny też był koniec obu laików klasztornych. Ten bowiem co ciało księdza wydobył z trumny i sam się w nią położył, spostrzegłszy że ksiądz wstrząśnięty za ramiona, podniósł się i oczy otworzył, sam ze strachu umarł. Drugi zaś laik, poznawszy po przyniesieniu miodu nieboszczyka hrabiego, z nadzwyczajnego przerażenia dostał pomieszania zmysłów.

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Rozstrojony brakiem snu zmordowany marszami na upałach mniej może byłem też i wytrzymałym na zimno, to też krew zdawała mi się marznąć w żyłach.

Skoro jednak ktoś zostawi przez zapomnienie mydło, szklankę, grzebień lub pudełko z tytoniem, reszta myje się jego mydłem, pije ze szklanki, czesze się grzebieniem i wypala tytoń. *Kijem tego co nie pilnuje swego*, woła gospodyni zlewając się wodą kolońską pozostawioną przez kogoś z lokatorów. Skoro się zjawi jakie indywiduum osłaniające się od reszty *bliźnich* parawanem — najniezawodniej na parawanie owym znajdujemy całkowitą tualetę, *szlafkamraci* zazwyczaj wieszają na nim części garderoby. W Niedzielę i święta rozpoczyna się inny rodzaj klasyfikacyi.

— Panie Anastazy, proszę nie brać tej miski, pan Józef jeszcze się nie mył. Niech pan Jan czyści buty, bo tym czasem pan Wojciech się umyje. Dość tych muskań przed lustrem — Walenty potrzebuje grzebienia. Cóż to pan nie masz białej koszuli? Dla czego takie niedbalstwo?

Pani wdowa podejmuje się równie dawania *śniadań*, złożonych z kufla kawy należycie rozcieńczonej i dwóch bułek *mularek*, pierze bieliznę porządniejszym i zajmuje się reperacyją garderoby *faworytów*. Dzieje się to zwykle przy regularnem wypłacaniu się; niechże jednak, który z lokatorów odwłóczy zapłatę, może być pewnym, że ani we dnie spokoju ani w nocy snu mieć nie będzie, że pościołka pozostanie niezmienioną, łóżko nie posłane i w daniach znajdzie różnicę, zamiast kufla — szklankę, zamiast świeżych bułek — zeschłe kamienie.

— Pan nie płaci, nie mam obowiązku trudzić się daremnie i uszczuplać moich łask innym, porządniejszym.

— Ależ pani droga, com ja winien, że zmienili porządek i dopiero za 3 dni wypłata.

— Co pan tam gadasz? Straciłeś na *zbytki* i dosyć. No, nó, policzymy się niedługo — a 15-go wymawiam panu mieszkanie.

Na niepłatnych, jest tu sąd doraźny, ostateczny.

Pani wdowa zwykle upatruje chwile w nocy, dzieje się to na dzień przed upływem terminu do wyprowadzenia się. Otóż upatrzywszy chwilę dogodną, zabiera palto lub jaką część garderoby najodpowiedniejszą i chowa do szafy.

Nazajutrz śpi bardzo mocno i straszliwie chrapie. Lokator naprożno biada nad utratą garderoby, koledzy śmieją się, biedak, siedzi dopóki wdowa obudzić się nie raczy.

— Proszę pani gdzie moje palto?

— A mnie co do tego!

— Przecież miałem, a nie mam nikt ukraść nie mógł.

— Zapewne!

— Więc cóż się z nim zrobiło.

— W szafie! Jak pan zapłacisz co się od pana należy, oddam — nie zapłacisz to idź sobie jak stoisz.

I co powiecie nie pomogą ani skargi, ani żale, ani prośby. Zabór stwierdzony i uświęcony miejscowym zwyczajem. Panie podobne posiadają wcale pokaźne składy podobnych rzeczy. Trzyma się to zwykle: „*rok* i *sześć niedziel*.“ Potem sprzedaje bez skrupułu.

Owinąłem się w skórę bawołu którą zgubił jakiś dziki a moi towarzysze i w to nawet zaopatrzeni nie byli wyjechaliśmy bowiem nie przewidując wcale że przyjdzie nam noce pod gołem niebem przepędzać.

Może dwóch albo trzech najwyżej biedaków miało płaszcze przywiązane do siodeł, reszta była prawie w koszulach tylko...

Wiatr północny zbudził ich tak gwałtownie jak prysznic zimnej wody i rozbili się naraz wszyscy szukając po omacku, jedni swoich okryć inni schronienia pod krzakami zasłaniającymi od wiatru.

Sięgnięto po koncept do głowy i pozdejmowano czapraki z koni.

Biedne zwierzęta cierpiały tak samo jak ludzie zbiły się w jedną gromadkę ale mimo to trzęsły się z zimna.

Kilku ukryło się po za krzaki nie ruszając na wet trawy rosnącej pod nogami.

Byłoby łatwo rozpalić ogień, bo bardzo blisko znajdowały się suche gałęzie w wielkiej ilości i najlepsze na ten użytek, tak też niektórzy chcieli zaraz z początku uczynić, ale ta myśl została odrzuconą przez ostrożniejszych. Szczególniej traperzy moi oparli się temu stanowczo, pewni że ani zimno ani ciemność nie przeszkodzą włóczęgze Indyjan.

Jakiś oddzialik mógł właśnie krążyć gdzieś blisko, skóra bawoła któręśmy znaleźli mogła nam ich łatwo na kark sprowadzić: bo był to płaszcz paradny jakiegoś wodza którego biografija cała, wypisaną była hieroglifami na wewnętrznej powierzchni.

Rozpalenie ognia można było przypłacić życiem... Lepiej więc cierpieć zimno jak narażać głowę jak powiadali traperzy.

Mimo to wszystko Rube nie był usposobionym umierać z zimna. Umiał on rozpalać ogień na otwartym stepie nie obawiając się żeby go odkryto. Jakoż w pięć minut rozniecił ognisko któregoby nie odkrył Indyjanin choćby obdarzony najlepszym wzrokiem na świecie.

Z najwyższą ciekawością przypatrywałem się tej operacyi.

Nazbierawszy wielką ilość suchych liści, trawy i małych kawałków gałęzi, Rube ułożył to wszystko razem i nakrył siodłem żeby nie zamiękło od rosy. To uczyniwszy wyciągnął nóż i wykopał w ziemi dół na stopę głęboki a dziesięć cali szeroki — poczem w głębi dołu ułożył suche liście, wyjął krzesiwo i hupkę co zawsze miał w swojej torbie i zapalił liście a gdy te zajęły się już na dobre płomieniem poukładał patyki naprzód mniejsze potem większe aż po sam brzeg dołu, a następnie niby pokrywą nakrył to wszystko kawałkiem darniny którą wyciął poprzednio z tego samego miejsca.

Prędko uwinąwszy się z tem wszystkiem stary strzelec usiadł na ziemi, zwinął nogi jak gdyby cały ten piec improwizować chciał nogami. Wyciągnął czaprak i zarzucił go sobie na ramiona. Z przodu dwa końce wziął na kolana tak iżby dostawały do ziemi i osłaniały go do około i silnie przytrzymał je wielkimi palcami.

Czynność była już teraz skończoną i oto siedzi strzelec jak klosz na melonie, lekki dymek wychodzi przez przykrycie ale ogień nie jest widzialny i stary Rube nie trzęsie się już od zimna.

Niepotrzeba nadmieniać że w tej chwili znalazł naśladowców.

Garey i inni grzali się już w ten prosty a tak dobrze obmyślany sposób.

Nie ociągałem się i ja aby skorzystać z tak dobrej sposobności zwłaszcza że Garey sam dla mnie podobny piec urządził, usiadłem więc obok niego, okryłem się szeroką skórą bawołu i było mi tak ciepło jak gdybym na węglach siedział.

W każdym innym razie przyjąłbym był udział w wesołości jaką wywołał pomiędzy moimi towarzyszami widok prawdziwie śmieszny jakiśmy przedstawiali.

Scena bo prawdziwie komiczną była gdy nas dziewięciu skurczonych niedaleko jeden od drugiego siedziało a niebieskawy dym który się przedzierał przez roztwory skór zwierzęcych lub czapraków unosił się po nad nami jak gdybyśmy palili się wszyscy!

Wiatr, rosa zimna i ciemność okropna trwały całę noc nieprzerwanie...

Gdybyśmy nawet dobrze byli wypoczęli było by nam niepodobna postępować za śladem podczas takiej czarnej nocy a nie było już żadnego sposobu iść z pochodniami, bo wiatr północny byłby je pogasił odrazu.

Nie było więc już mowy o puszczeniu się w dalszą drogę przededniem albo przynajmniej przed zupełnem ustaniem wiatru.

Północ była gdyśmy pokończyli swoje podziemne piece i posiadali na ziemi..,

Buletyn obecnej chwili, grad, deszcz wiatr i czarna noc.

Moi towarzysze oparli głowy na kolanach albo się kiwali drzemiąc...

Ja usnąć ani się zdrzemnąć nie byłem w stanie. Rachowałem minuty które wydawały mi się godzinami.

Zdawało się że deszcz, grad, wiatr jak i ciemność sama stanowiły wyłączną właściwość nocy, bo gdy tylko świtać zaczęło wszystko na raz ustało, wiatr północny wyczerpał widocznie siły swoje...

Dziki indor zabity wieczorem dostarczył nam materyału na dobre śniadanie.

Śniadanie przygotowane było bardzo prędko a jeszcze prędzej zjedzone i kiedy pierwsze promienie jutrzenki ukazały się na horyzoncie wszyscy skoczyli na siodła i puścili się dalej za śladem dzikich.

ROZDZIAŁ LXXIII.

List pisany czerwonym atramentem.

Ślad prowadził w stronę północno-zachodnią jak to przeczytałem na liściu; Isolina

---

To część administracyjna, zastanówmy się nad częścią finansową. Wdowa płaci za pokój z kuchnią Rs. 8 miesięcznie — ma łóżek pięć w pokoju po dwa ruble a jedno w kuchni za rs. 1 kop. 50 więc tym sposobem komornego wcale sama nie uiszcza, ale składają się lokatorzy i ma w zysku rs. 3 kop. 50. Policzmy teraz różne naddatki — po 10 złotych za śniadania, po rublu za usługę miesięcznie i fundusze wpływające za rzeczy i utensylija, zabrane niewypłacalnym lokatorom, możemy łatwo wyobrazić sobie, że nie podobna żądać świetniejszego utrzymania, świetniejszego obmyślanych finansowych operacyj.

Przytoczymy wam jako dowód gorliwości i sumiennego wypełniania przyjętych na siebie obowiązków przez indywidua, pozwalające zawsze chętnie na umieszczenie swego nazwiska w rzędzie dobroczyńców ludzkości, to jest członków instytucyj dobroczynnych.

Zapomnieliśmy już zapewne oddawna o błogich chwilach uczty Wielkanocnej. Minęła już ona dawno upamiętniona mniej lub więcej obfitą ofiarą, na ołtarzu nędz złożoną. Prócz ofiar płynących obficie w pozłacane tace w obec pozłacanych dam i młodzieży w murach świątyni wydelegowane było grono szlachetnych członków dobroczynności do zbierania ofiar po domach prywatnych.

Otóż panowie ci, uskuteczniwszy tak mozolną funkcyję. spoczęli wnet na laurach i nie troszczą się bynajmniej o przelanie zebranej sumy do właściwej kasy, także aż publiczne ogłoszenie zarządzającego, jak trąba archanioła, powoływać ich musi do zdania rachunku ze spraw swoich. Czynią to poprostu z lenistwa i opieszałości, i sumka złożona gdzieś zapewne w oddzielnej skrytce, spoczywa zapomniana. Trudno żeby mężowie, mający tyle różnorodnych zatrudnień na głowie o takich drobnostkach myśleli.

Jeszcze jeden pocieszający fakt sprzecznego życia. Pod *Częstochową* w pięknej i odpowiedniej miejscowości, wśród świeżej leśnej atmosfery jeden z lekarzy miejscowych ma zamiar założyć *zakład leczniczy* nakształt Gleichenbergskiego. Jest więc nadzieja, że wkrótce kraj nas pozyska zakłady, nie ustępujące zagranicznym, i obfity grosz, składany w daninę obcym bogom, pozostanie w kraju. Przytem ratowanie nadwątlonego zdrowia nie będzie już rzeczą dostępną tylko dla szczęśliwych ulubieńców natury. Oby nadzieje nasze nie były *pia desideria!*

Kasa *Zjednoczenia dla urzędników i oficyjalistów drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej* wydało obecnie sprawozdanie ze stanu swego za rok 1874. Dowiadujemy się tu, że z końcem 1873 r. instytucyja ta liczyła 713 uczestników, z których 13 należało do stowarzyszenia emerytalnego rządowego. W ciągu zaś roku 1874 przybyło uczestników 267, ubyło zaś 163, czyli że ilość ich powiększyła się o 104 i doszła do pokaźnej już liczby 817. Co się tyczy stanu finansowego, dochód z różnych źródeł wynosił razem rs 27,057 kop. 50 rozchód zaś rs 1,588 kop. 48½. Majątek kasy z końcem roku ubiegłego wynosił rs. 133,390 kop. 2½. Szkoda tylko, że tak znaczny fundusz w skutek rozporządzeń ustawy, bezczynnym zostawać musi.

więc musiała zapewne posłyszeć jak Indyjanie rozwijali plan dalszej swojej drogi, co bardzo jej łatwo przyszło bo znała język Komanszów.

Gdyby zresztą nie rozumiała ich wcale, mogła i tak jeszcze być poinformowaną o ich projekcie gdyż większa część tych ludzi mówiła po Andaluzyjsku. Był bowiem czas w którym pewna część tego plemienia słuchała chętnie nauk ojców misyjonarzy.

Co ważniejsza jeszcze, w oddziale dzikich których my goniliśmy było kilku którzy mieli się prawo pochwalić — chociaż nie czynili tego wcale, iż krew hiszpańska w żyłach ich płynie.

Zaledwie upłynęło dwie godziny jakeśmy puścili się w drogę gdy napotkaliśmy miejsce na którem obozowali dzicy podczas nocy.

Z wielką ostrożnością ukrywając się jak tylko można było najlepiej zbliżyliśmy się do tego miejsca. Ta ostrożność konieczną była.

Gdybyśmy zostali odkryci przez jakiegoś marudera znaczyłoby to samo co się dać odkryć całemu oddziałowi, a gdyby nas odkryto na śladzie wojennym, nasze losy byłyby bardzo niepewne. Kilku z nas mogło się wymknąć ale gdybyśmy nawet zemknęli szczęśliwie cały nasz główny plan byłby zupełnie zniszczonym...

Mówię nasz plan ponieważ ja go wymyśliłem wyłącznie.

Podczas długiego czuwania myśli moje były w ruchu, nakreśliłem sobie więc plan działania który okoliczności albo mogły zmienić nieco albo mu dopomódz do wykonania.

Zbliżaliśmy się ostrożnie do miejsca w którem obozowali Indyjanie. Dym od ogni niewygasłych jeszcze pod popiołem służył nam za przewodnika.

Znaleźliśmy miejsce zupełnie puste; wychudłe tylko wilki i tygrysy wyrywały sobie szczątki kości końskich jako resztki śniadania Indyjan...

Gdybyśmy nic nie wiedzieli przed tem, stary traper z wyglądu obozowiska byłby nas teraz poinformował dokładnie do jakiego plemienia należeli ci dzicy.

Żerdzie od jedynego namiotu stały jeszcze na miejscu—a namiot to zapewne był naczelnego wodza.

Żerdzie obsadzone były dokoła gałęziami uwitemi w sąsiednim lasku i schodziły się z sobą wierzchołkami gdzie były związane razem sznurem w taki sposób iż tworzyły formę regularnego ostrosłupa. Wiedzieliśmy że to była forma namiotów Komanszów.

Rube skorzystał z okazyi i odezwał się do nas:

—Gdyby to byli Chickapoux byliby przygięli gałęzie do środka i tym sposobem utworzyli rodzaj okrągłego dachu a gdyby to byli *Wacoux* albo *Witchiteux* byliby zostawili u góry dziurę dla dymu Delawares i Pawicus stawiają swoje namioty tak samo jak biali ale zupełnie inaczej rozkładają ogień. W ognisku Pawicus pokładziono by drzewo jednym końcem w ogień a drugi pozostał by na zewnątrz w takiej formie jak sprychy koła od wozu. Tak samo Cherokees albo Chielaws mieli by namioty regularne ale ognisko zupełnie inne, poukładaliby drzewo w równej linii jedno przy drugiem i zapalili by go z jednej strony posuwając drzewo w miarę jak się pali bo to ich właściwy sposób. Widzicie że to drzewo było ułożone inaczej, paliło się ze środka czuć z tego Komanszów o milę ręcze wam za to.

Przenikliwość Ruba sięgała dalej jeszcze. Dzicy wstali tak wcześnie jak i my opuścili obozowisko o wschodzie słońca i mieli dwie godziny czasu przed nami.

Jeżeli maszerowali tak prędko, to nie dla tego bynajmniej iżby się obawiali pogoni jakiego nieprzyjaciela.

Żołnierze meksykańscy zanadto dużo mieli roboty ze swoimi nieprzyjaciółmi amerykanami.

Co do nas nie mogli się spodziewać napaści naszej dla odbicia im jeńców.

Może spieszyli tak dla tego iżby zdążyć spotkać wielkie stada bawołów których po powrocie zimnych wiatrów północnych trzeba było teraz szukać na wynioślejszych położeniach.

Takie objaśnienia dali nam strzelcy i z pewnością trafne te informacye były.

Pod wpływem najdziwniejszych uczuć przebiegałem konno miejsce obozowiska.

Znajdowały się tu inne jeszcze oznaki pobytu dzikich, mianowie szczątki łupów, jakimi byli obładowani... Były to potłuczone filiżanki, kawałki instrumentów muzycznych kartki wydarte z książek, kawałki płótna kawałki aksamitu i materyi, mały pantofelek atłasowy obuwie właściwe wieśniaczce meksykańskiej tuż przy obuwiu indyjskiem podartem i zabłoconem, ślady życia dzikiego, cywilizowanego...

Nie mieliśmy czasu zastanawiać się nad tą mieszaniną ciekawą. Ja rozglądałem się tylko czy nie dopatrzę jakiego śladu Isoliny.

Gdzie ona przepędziła noc? na którem spoczywała miejscu?...

Kiedy tak debatowałem nad odszukaniem śladu Isoliny zbliżył się do mnie Rube i powiedział wesoło:

— Mój młody towarzyszu, nie uchodzę za uczonego nie chcę udawać znającego się na piśmie ale założyłbym się o futerko królika lub bobra, o ogon wreszcie wodnego szczura, że ten oto manuskrypt jest pisany nie do kogo innego tylko do pana. Że jest tu coś napisane to jasne, jak również jasnem jest i to że napisane atramentem bardzo ciekawym. Był czas że i ja czytać umiałem i przychodziło mi to tak łatwo jak połknąć kroplę wódki. Trzeba ci bo wiedzieć że był u nas w owych czasach jeden Tankie razem z jedną poczciwą staruszką który utrzymywał sławną szkołę. Ta staruszka to była moja matka, to była mistres Rawlings która mnie też obeznała stopniowo z nowym i starym testamentem. Przypominam sobie że czytałem coś w owych czasach o tym przeklętym łotrze wiesz pan o tym nikczemnym Judaszu Iskaryjocie... Tak przypominam sobie dobrze nazwisko tego piekielnego łotra i gdybym go mógł kiedy dostać w swoje objęcia — no daję wam słowo, ściągnąłbym szelmie skórę ze łba...

Oburzenie Ruba na zdrajcę Judasza dochodziło do najwyższego szczytu dla tego też tak perorował.

Nie czekałem aż skończy... Przedmiot który trzymał w ręku interesował mnie więcej jak historyja jego młodości albo jak historyja zdrajcy Iskaryjoty... Papier który mi przyniósł był bilecikiem zręcznie złożonym a na nim nadpis: „Warfield!“

Rube znalazł go tuż przy obozowisku włożony był w rozczypaną gałązkę wetkniętą w ziemię. Nic dziwnego że Rube zauważył atrament na adresie bo był pisany krwią.

Spiesznie rozłożyłem papier i przeczytałem co następuje:

„Henryku!...żyję jeszcze...godzina jeszcze nie nadeszła. Nie poddam się — zginę z własnej swojej ręki... Szczególny wypadek oszczędzał mnie dotąd; ale nie starczy to na długo!... Dwóch moich zaborców dobija się o mnie: jeden jest synem wodza, drugi nędznikiem któremu darowałeś wolność i życie. Z tych dwóch dzikich ten co ma białą krew w żyłach jest daleko podleglejszym, jest szatan prawdziwy. Obadwa mieli udział w schwytaniu białego rumaka i obadwa domagają się o mnie jako o swoją własność. Sprzeczka jeszcze się nie skończyła, oto dla czego ocalałam. Ale niestety!... obawiam się aby godzina nie nadeszła... Ma się zebrać rada która zadecyduje któremu z tych dwóch potworów będę przysądzoną. Którykolwiek zostanie moim panem to okropne przeznaczenie, jeżeli nie przyznają mnie żadnemu z tych dwóch los jaki mnie czeka okropniejszym byłby jeszcze!... Boże zlituj się nad moją duszą... śmierć będzie błogosławioną!... Nie obawiaj się o nic Henryku! nie obawiaj się—nie schańbię twojej miłości... Oh jakże mi się serce ściska... Już idą aby mnie uprowadzić stąd... Adieu!.. Adieu!.“

Oto co zawierała kartka wydarta z książki od nabożeństwa.

Po drugiej stronie znajdował się obrazek Matki Boskiej Bolesnej patronki strapionych Meksykan. Czy umyślnie wybrano ten obrazek którego nie można było zastosować do okoliczności.

Schowałem list na piersiach i jechałem za śladem nie zamieniwszy ani jednego słowa z moimi towarzyszami...

ROZDZIAŁ LXXIV.

Jeszcze za krwią.

Ludzie moi postępowali za mną, strzelcy nie potrzebowali już wskazywać nam drogi, szlak był ubity jak po przejściu ogromnego stada bydła, tysiące koni pozostawiło swoje ślady.

Postępowaliśmy ciągle ale wolno bo nie chciałem zawcześnie dogonić dzikich, chciałem ich tylko odkryć dopiero gdy noc zupełna zapadnie, bom się obawiał żeby nas oni wpierw nie zobaczyli.

Mój plan oswobodzenia Isoliny mógł być nocą tylko wykonanym...

Łatwo by nam było dopędzić wcześniej Indyjan, bo mała była różnica w czasie, o jaki nas wyprzedzili, zresztą było prawdopodobnem że według swego zwyczaju, zatrzymali się na śladzie wojennym z jakie kilka godzin...

Obrachowaliśmy prędkość, z jaką podróżowali...

Rutyniści stepowi mogli na dwa albo trzy blisko metry dać o tem dokładne wskazówki.

Widać było ciągle po drodze ślady stóp nieszczęśliwych branek, co okazywało, że oddział nie mógł iść prędzej, tylko stępa.

d. c. n.

NOWINY OGRODNICZE.

Wystawa w Filadelfii w r. 1876.

Amerykanie czynnie pracują nad swoją wielką wystawą. W grudniowym numerze z r. 1874 „Americam Agriculturist" znajdował się plan i widok pałacu kryształowego i gruntów przyległych, poświęconych ogrodnictwu. Wielka cieplarnia jest olbrzymia, długości ma 310 stóp angielskich a 160 szerokości, w samym środku mieści się ogród zimowy, boki zajmują cieplarnie, oranżeryje, biura, restauracyje, salony i t. p.

Grunt, otaczający pałac wystawy, zamieniony będzie na park, a sadzenie drzew rozpoczęto dopiero z wiosną b. r. Można tu będzie ujrzeć obok siebie wszystkie drzewa leśne i owocowe Stanów Zjednoczonych, od olbrzymich sosen północy, aż do pomarańcz, bananów Florydy i winorośli Kalifornii, a więc nabrać pojęcia o bogactwach roślinnych tego kraju. Nie zapomniano tu i o rolnictwie, któremu poświęcono 450 akrów.

Medal dla De Candolle'a. Związek towarzystw ogrodniczych belgijskich uchwalił ofiarowanie znakomitemu botanikowi De Candolle'owi medalu złotego w imieniu ogrodnictwa belgijskiego z powodu, ukończenia przezeń szacownego dzieła „*Prodromus*," zajmującego się opisaniem roślin.

Filoksera. Podobno niejaki p. Ludwik Portier wynalazł środek pewny przeciwko filokserze; jest nim sadzenie tytoniu pomiędzy winoroślą. Tytoń w stanie zielonym oddala skrzydlate filoksery, służące do rozmnażania. Gdy tytoń dojdzie wysokości 30—40 centym. zakopuje się go, a nocne wyziewy z niego powstałe, niszczą owady w ziemi będące.

Eucalyptus globulus. Sławne australijskie drzewo które zastępuje już dziś chinę z powodu swej dobroczynnej skuteczności przeciwko febrze, niezmiernie szybko rośnie, przyczem pochłania bardzo dużo wody, a wytacza z siebie rodzaj kamfory, obdarzonej balsamiczną wonią. Z licznych prób okazało się, że eucalyptus osusza w krótkim czasie bagna przez, co niezdrowe okolice, będące siedliskiem zaraźliwych chorób, w zdrowe siedziby ludzkie zamienia. Zauważono to w wielu miejscowościach Algieryi, na wyspie Kubie, a głównie na pewnej stacyi kolei żelaznej w depart. Var we Francyi, w miejscowości otoczonej tak ze wszech stron bagnami, że żaden z urzędników nie mógł w niej wytrzymać. Przez posadzenie 40 eukaliptusów uzdrowiono miejscowość. Szkoda wielka, że to cenne drzewo udaje się tylko w klimacie pomarańcz i cytryn.

Nowa Południowa Walija w Australii produkuje dobrego wina do picia około 600,000 galonów.

Bagno (Ledum palustre) jest rośliną, która wybornie zastąpić może proszek perski i zarówno w świeżym jak i w suchym stanie zabija wszelkie uprzykrzone owady domowe. Tynktura przygotowana z bagna uśmierza ból i i swędzenie, powstające z ukąszenia przez owady. Prawdopodobnie Bagno które, jest rośliną krajową, zastąpi kosztowny proszek perski. Należy zbierać tę roślinę w czasie kwitnienia i używać jej głównie na zielono, bo w tym stanie działa najenergiczniej.

Najlepszy sposób polewania w czasie suszy drzew a mianowicie też alejowych polega na tem, że w pewnej odległości od drzewa, tam mniej więcej, gdzie się kończą korzenie które zwykle sięgają tak daleko jak gałęzie, robi się drągiem żelaznym w około kilkanaście dziur. Woda nalana dostaje się wprost do korzeni, gdy tymczasem wylana na zeschłę powierzchnię, ledwie ją zwilża i bardzo mały lub żadnego pożytku drzewu nie przynosi. Dziury takie należy przed zimą napowrót zasypać żeby mróz przez nie do korzeni nie przeniknął.

Pewien nadleśniczy nazwiskiem Geschwind zastosował z pomyślnym skutkiem *szczepienie* i oczkowanie *malin* i jeżyn na dzikiej róży. Tym sposobem będziemy mieli wkrótce wysokopienne maliny, jak posiadamy róże lub agresty.

W Londynie wystawiono *12 gruszek*, należących do odmiany *Belle Angevine*, które razem ważyły 36 funt. angielskich; żądano za nie 30 funtów sterlingów. Pochodziły one z wyspy Guernesey. Gruszki te jednak, obok swej kolosalnej wielkości, smakiem się wcale nie odznaczają i służą tylko za ozdobę stołu.

Obawa *filoksery* owadu niszczącego winorośl, tak jest wielką w krajach, produkujących wino, że programem tegorocznej wystawy ogrodniczej, która się odbędzie w kolonii we wrześniu, winorośl i winogrona nie są objęte.

Zabezpieczenie nasion. Niektóre domy handlowe ogrodnicze używają już na wielką skalę nieomylnego środka zabezpieczenia nasion od mysz, ptaków i owadów. Polega on na zmoczeniu nasion, mianowicie też mających powłokę *twardą w minii.*

Kalifornija oprócz winnic produkuje dużo dobrych winogron stołowych. Tak np. w r. z. jenerał Bidwelt zasadził w Kalifornii 110000 krzaków odmiany „*Muscat d'Alexandrie.*"

Melon pnący. Ogrodnik Bossin podaje w „Illustration Horticole" cenną wiadomość o nowej odmianie *melona pnącego* (melon vert à rames). Zamiast rozchodzić się po ziemi, melon ten pnie się po prostopadłem rusztowaniu z tyczek; cięcia żadnego niepotrzebuje (jak arbuz), owoce rodzi obficie, są one średniej wielkości, smaczne, soczyste, a mięso mają zielone. Początkowa ich hodowla taka sama jest jak innych melonów; sieje się w marcu lub nieco wcześniej w doniczce i z niej przesadza w inspekt oddzielny. Niedawno otrzymano odmianę melonu pnącego z mięsem żółtem.

E. Jankowski.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Pedagogika obejmująca zasady i metody moralnego, i fizycznego naukowego wychowania dziatek. Ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego wyłożył August Jeske. Warszawa. Nakładem księgarni S. Arcta w Lublinie. 1875 r. str. 352 in 8-o. (Cena w oprawie rs. 1 kop. 50).

(dokończenie).

Wykład nauk, p. Jeske rozpoczyna od „Nauki Religii," a część tę jako podstawę moralności przedstawia, wskazując drogi nauczania dziecka, na gruncie religijności przygotowanym przez matkę. Rozdział ten jak cała książka przeniknięty duchem wiary i głęboką czcią dla niej, uzyskał zalecenie „Pedagogiki" przez cenzurę duchowną, zdolny jest przełamać uprzedzenie ogółu, skłonnego widzieć zawsze jakiś uszczerbek religijny we wszystkiem, co nacechowane jest dążnością postępu. P. Jeske nie należy do krańcowych reformatorów, a jeżeli pragnie reformy wychowania, to całą siłą opiera ją na duchu tradycyi i żąda, aby religija była, nie pozorną, lecz rzeczywistą dźwignią w moralnej budowie człowieka. W rozdziale o nauce religii czytelnik nie znajdzie rzeczy nowych, lecz metodę opartą na czystej wierze i wewnętrznem uczuciu, tak, jak inne nauki na doświadczeniu i na spostrzeżeniach bezpośrednich wspierać się powinny.

Obszerny dział następny zajmuje „Nauka Języka ojczystego." Dział ten przedstawia kolejno naukę o rzeczach, mającą na celu rozwinięcie myśli dziecka, przez rozumne zastanawianie się nad spostrzeganymi przedmiotami, obok wykształcenia mowy, następnie „Naukę pisania i czytania" wraz z logicznem rozwijaniem umysłu, poczem przystępuje do „Gramatyki". Nauka nie jest tu celem — lecz środkiem do wykształcenia umysłu, do dania mu szerokich i mocnych podstaw na przyszłość. Piękny systemat nauki przeprowadzony tu gruntownie przez autora, przestraszy zapewne trudnościami nie jednego z tych wychowawców, którzy niedbalstwo swe chętnie zasłaniają przyjętym porządkiem, rutyną. Bezwątpienia łatwiej jest dziecko, zaledwie umiejące bezmyślnie szczebiotać, przyciągnąć do elementarza. wbić mu w głowę litery, wyuczyć jak młodą srokę dukania zgłosek, a potem przez pozytewkową metodę sylabizowania przejść do czytania wyrazów bez myśli, niż zniżyć się do potrzeb dziecinnego umysłu. Łatwiej przymusem schwycić zarodek przyszłego umysłu w kleszcze ślepego mechanizmu i zwichnąć od razu wzrost duszy, niż z miłością

prowadzić ją mozolnie, rozumną drogą kształcenia.

„Nauka ojczystego języka” napisana jest wyczerpująco, przeprowadzona metodą indukcyjną, w całem znaczeniu tego wyrazu, przedstawia nie ogólne wskazówki, ale gotowy wzór nauczania, w najdrobniejszych szczegółach, prawie naginający się do praktyki — ale — jest to metoda rozumna, wymagająca, aby uczący myślał i pracował sumiennie wraz z uczniem, i dla tego nieprędko uzyska pierwszeństwo przed dotychczasową metodą (?), zasadzającą się na łatwości bezmyślnej roboty i lenistwie uczących.

— Nauka o rzeczach, nauka poglądowa? Dzieciństwo? zawołają poważni rutyniści. Tyle ceremonii, z nauczaniem liter przez rozróżnianie dźwięków i kreślenie ich znaków! Uczenie czytania w połączeniu z pismem, bez pomocy drukowanej książki, a potem czytanie i pisanie, ze szczególną uwagą na myśl, wydobywanie gramatyki z mowy i myśli. Naco to wszystko! Ojcowie nasi... i t. d. Nie dla tych panów i pań p. Jeske napisał swą pedagogikę bo pomoc i rada w pracy dla tych tylko służyć mogą, którzy czują jej potrzebę, którzy czują fałszywy i spaczony kierunek rutyny i pojmują, że z bezmyślnej szkoły nie mogą wychodzić rozumne istoty.

W szczegóły „Nauki ojczystego języka” niemożemy tu wchodzić, zresztą streszczenie takie byłoby bezużytecznem. Sądzimy że każdy, kogo ten przedmiot obchodzi zechce przeczytać dzieło p. Jeskiego, znając już zapewne pomocnicze w tym względzie prace tegoż autora, wydane poprzednio.

Przy nauce języka polskiego i w całem dziele autor żadnej prawie wzmianki nie zrobił o nauce obcych języków, a jednak przedmiot ten, tak nieproporcyonalnie nieraz pochłaniający inne strony domowej nauki, przyczyniający wiele szkód w pierwiastkowem wychowaniu powinien był znaleść stosowne miejsce w „Pedagogice” wchodzącej w potrzeby naszego ogółu. Spodziewamy się że w nowych wydaniach, które wkrótce zapewne nastąpią, autor zechce to przemilczenie wynagrodzić.

O nauce rachunków i innych przedmiotach wypełniających kurs elementarnej nauki, też same co powyżej pochwały wypowiedzieć tylko możemy. Autor treściwie przedstawia metodę prowadzenia każdej nauki z osobna, wskazuje właściwą drogę, wytyka kierunek, prostuje błędy dotychczasowej praktyki, wykład popiera przykładami, a w końcu każdego rozdziału przedstawia krótki program nauki najwłaściwszy przy indukcyjnej metodzie. Kolejno autor przechodzi w taki sposób: Rachunki, Gieografiję, Historyję, Nauki Przyrodnicze i zakończa wykład nauk — Rysunkiem i Śpiewem.

Do każdego z przedmiotów których metodą uczenia przedstawia p. Jeske w swej Pedagogice, poprzednio już przygotował i podał ogółowi podręczniki odpowiednie. Obecne dzieło jego równie jak prace dawniejsze stanowiące z niem całość, nie potrzebują naszych pochwał, ani zalecań; ich wartość i gruntowność prawdziwa, znalazły jednomyślne uznanie u ludzi nauki i co wiele znaczy, szczery poklask u ogółu. Uznanie ogółu jednak, tak pożądane nie objawia się w skutkach tak, jakby życzyć należało, i jak tego wymaga doniosłość pracy p. Jeskiego. Dziełka stanowiące jego „Systematyczny kurs nauk“ dość są wprawdzie rozpowszechnione, a chwalone jeszcze bardziej, choćby ze słychu tylko, jak to się u nas często zdarza, ale... Nieszczęsne to „ale”! Ktoś obejrzy zachwaloną książkę, przeczyta (to już dużo!), co więcej — przekonany o zbawienności metody, rzuci się dorywczo do stosowania jej, i — po paru lekcyjach bardzo postępowych, zniechęca się własną nieumiejętością. Dobra wola nie wystarcza na dłużej. „Bardzo to piękne i racyjonalne” mówi się wtedy — „ale”... ale niepodobieństwem jest dla naszego lenistwa uczyć podług książki, w której nie można zakreślić uczniowi „stąd—dotąd” i dla tego stara rutyna jest „praktyczniejszą”.

„Pedagogika” bezwątpienia polepszy dotychczasowy los „Systematycznego kursu nauk” i los domowego wychowania, rozjaśni pojęcia, uporządkuje bezładne wyobrażenia wychowawców i da klucz do indukcyjnej metody nauczania, a ludziom szczerze pracującym na polu pedagogicznem, pożądaną stanie się pomocą.

T. Z.

GOSPODARSTWO i Przemysł domowy.

Esencyja poziomkowa. Piękne i dojrzałe poziomki obsypują się cukrem miałkim, po upływie dwudziestu czterech godzin zlewa się ta esencyja do butelek, zalewa arakiem licząc kieliszek araku na półkwarty esencyi, korkuje szczelnie, zalewa pakiem i przechowuje w chłodnem miejscu. Używa się do herbaty lub do wyrabiania lodów w porze zimowej.

Borówki suszone, jako środek leczniczy dla dzieci. Dojrzałe jagody rozpostrzeć cienko na przetaku i wystawić na działanie słońca. Gdy uschną należycie zachować do użytku. Dzieciom w razie rozwolnienia żołądka gotować, a osłodziwszy cukrem, dawać pić i jeść.

Zupa rakowa. Raki ugotowane obrać, skorupki poukładać następnym faszem: Kaszkę utrzyć z masłem, dodać nieco pieprzu, soli i drobno usiekanej natki z kopru, zalać rosołem i ugotować. Następnie utłuc skorupki usmażyć w maśle, przetrzeć przez sitko blaszane lub druciane, rosół z raków podbić śmietaną z trochą mąki, zagotować, w końcu dodać masła rakowego dla smaku i koloru, włożyć do wazy obrane szyjki, nóżki i skorupki nadziane, zalać to wszystko gorącą zupą i wydać.

Fasz można również taki zrobić: tartą bułeczkę zwilżyć mlekiem, wbić parę jajek, włożyć łyżkę masła, nieco pieprzu, soli, siekanego koperku, wymieszać to wszystko starannie, skorupki poukładać i ugotować.

Jeżeli raków niewiele lub drobne, z skorupek zrobić masło, a do zupy dodać osobno ugotowanego ryżu.

Pulpety. Łojek nerkowy wyżyłować, usiekać na masę, wbić parę żółtek, białka ubić na pianę, soli i pieprzu do smaku, dodać tarkowanej bułki, nieco mąki, wymieszać starannie, porobić małe kulki, włożyć do rosołu, ugotować, i dodać gdzie będzie potrzeba.

Marchewka duszona. Oskrobaną marchewkę pokrajać w talarki, wypłukać starannie, posolić i dać się nieco odleżeć, aby nasłoniała. Potem spód rondelka wyłożyć świeżą niesoloną słoninką pokrajaną w cienkie plasterki, nasypać warstwę marchewki, tę znowu przykryć słoninką pokrajaną w cienkie plasterki i tak następnie dopóki nie napełni się rondel. W końcu przykryć rondel pokrywą i dusić na wolnym ogniu lub w ciepłem. Można także marchewkę zmieszać z zielonym groszkiem i udusić w powyższy sposób.

Bułeczki. Trzynaście żółtek dobrze ubić, aż dopóki nie zbieleją, wlać do garnca mąki, dodać mleka, ile potrzeba do wyrobienia ciasta, dodać suchych drożdży cztery lub pięć łutów soli, anyżku, masła topionego kubek, wybijać całą tę mieszaninę przez pół godziny, niech się wysuszy, potem porobić bułeczki i upiec w dosyć gorącym piecu.

Makaroniki. Funt słodkich migdałów po oparzeniu i oczyszczeniu ze skórki ususzyć i utłuc w moździerzu kamiennym, lub porcelanowym, potem dodać do tej masy funt cukru wiercić w donicy, białka od kilku jaj ubić na pianę, wlać do donicy i wiercić z niemi, aby ciasto było tylko wilgotne. Potem wyłożyć na stolnicę, otaczać w miałkim cukrze, porobić je w kształcie gałek, ułożyć na papierze wysmarowanym masłem, wstawić w dość ciepły piec i upiec.

Sztuka mięsa po angielsku. Mięso dobrze wyżyłowane i ubite pokrajać w wielkie i grube plastry, osolić z dodatkiem w miarę potrzeby pieprzu i angielskich ziarnek i każdy nasmarować masłem. Rondel wysmarować masłem, poukładać w nim mięso przekładając cytrynę pokrajaną w talarki i usiekaną cebulą, nakryć pokrywą postawić na wolnym ogniu niech się dusi. Gdy się dobrze przyrumieni, zakruszyć tarkowanym chlebem podlać rosołem, niech się w nim gotuje, w końcu dodać parę łyżek śmietany, zagotować i wydać.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 (27) Іюля 1875 г. — W drukarni E. Skiwskiego,- Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.